

Nadmiar fascynacji



Pierwszą kobietę zgwałcił nad ranem koło torów, kiedy szła do pracy. Nie była ładna, potem ją zabił. Uderzył kamieniem w tył głowy tak długo, aż przestała oddychać. Potem stwierdził, że poza momentem seksualnego podniecenia, spojrzenie kogoś konającego daje mu większą satysfakcję



Przypadek wampira z Bytowa nie jest odosobniony.

Był sławny rok, uporczywe śledzenie komety i wtedy Jacek po raz pierwszy wysnuł szokujące teorie o zagrożeniach dla matki Ziemi. Mateusz tymczasem w te dni przełomu schodził do kręgów swej jaźni, schronienia, które wymyślił za pierwszym razem tuż po traumie. Od lat mieszkął w złotej wieży sześćdziesięciometrowej klatki, niezdobytej jeszcze przez żadną z królowien królestwa kłamstw i pozorów. Na czwartym piętrze blokowiska miasta na krańcach rubieży. Roztaczał się stamtąd ładny widok, chmury igrały z cieniem blokowiska, a niedołęzne słońce omijało życiowe perspektywy Mateusza.

Chronił on swój status, dopóki wystarczało mu sił, zawsze jednak schodził po schodach głęboko gdzieś w trzewia jestestwa, przewracał się o wyjątki i rozwalał głowę o ścianę celuści nicości. Powracał potem w dwulicowość Jacka, w

jego opowieści, które wcale go nie fascynowały. Przyjmował to indywiduum od czasu tego zdarzenia.

Tamten wieczór był wyjątkowy, jeśli nie dla niego, bo nigdy nie znosił klasycznej muzyki, to dla niej. Pamięta jeszcze ten samochód. Szarobiałe Suv, jak jej sukienka. Ta krew nie pasowała wówczas do niczego, lecz stwierdził to dopiero potem, jakby po niewczasie, kiedy tak naprawdę nic nie miało już sensu.

Jacek przekonywał go, że człowiek gwałci matkę Ziemię, a on przypominał sobie ostatni stosunek z Elizą i jej spojrzenie takie niedbałe, jakby od niechcenia. Rzucone jak ochłap mięsa wygłodniałemu psu. No i ten papieros w jej ustach przypominał Mateuszowi wybuch wulkanu. Wtedy, kiedy to wszystko przestało mieć sens.

- Pamiętasz, wtedy na Islandii też wybuchł wulkan. Może to przeznaczenie, może moc, lecz czemu wtedy? Czemu właśnie wtedy miałem wybierać? - pomyślał Mateusz i popatrzył na swoje nogi.

Widział tylko kikuty. Obserwował stopy, których przecież nie miał. Nałożył skarpety i wsunął buty, potem dokładnie je zasznurował. Wciągnął spodnie, które były płaskie na kolanach. Znow widział kikuty i swoje przyrodzenie. Był nagi. Tak spędzał całe dni. Zakładał coś, kiedy przychodziła pani Jadzia z opieki i Jacek, choć ostatnio niechętnie.

- Niech widzi moje upodlenie, moją niedoskonałość, spowodowaną przecież przez niego, przez jego słowa - tłumaczył swoje zachowanie. - Bo to one doprowadziły go do wyborów.

- Och zgwałcić matkę Ziemię, żeby odzyskać nogi - myślał Mateusz. Wejść w nią, zanurzyć się w jej miękkość, poczuć wreszcie swoją męskość i nie patrzeć znow na twarz Elizy.

Ta twarz wywoływała w nim dualistyczny stan fascynacji. Jak po tym wszystkim może patrzeć na niego tak obojętnie? Jak po tym wszystkim nie może być wulkanem, a jest tylko zastygłą lawą?

Wtedy musiał wybierać. Wybrał, niedoskonałego człowieka, jego stan hibernacji, stan podszyty strachem i słowa Jacka, które brzmiały jak dzwonek na mszę:

- Wybieraj mądrze, matkę Ziemię gwałci człowiek.

Mateusz wybrał drzewo. Zostawił spojrzenie Elizy i wybrał drzewo również dlatego, że tam był pies. Duży i ładny pies, którego opiekun w krzakach oddawał moc.

- Nie zastanawiaj się, kiedy przyjdzie wybierać - wciąż powtarzał Jacek.

Drzewo było twarde, samochód rzuciło na nie w miłym uścisku. Mateusz do końca próbował hamować. Kiedy rozcinali blachy on jeszcze uparcie wierzył, że nic mu nie

jest, że te krwawe plamy na spodniach to tylko zadrapania. Jej usta nic nie mówiły, jej wzrok zastygł na twarzy Mateusza, wyzywające spojrzenie i jej uśmiech przestały istnieć. Ten, którego Mateusz tak bardzo nie znosił. Potem, kiedy obudził się w innej rzeczywistości, wciąż hamował...

Jacek, obrońca wszystkiego, co zielone był kiedyś kimś ważnym, miał katedrę i słuchaczy, ale zblizował. Wykopał ziemiankę w lesie, zostawił żonę, dwójkę dzieci, mieszkanie po teściach i ruszył ratować świat przed nim samym. Powtarzał, że kosmici go namierzili i chcą pojąć jego umysł, dlatego nosił kask, zapuścił włosy i brodę dla stanu, w jakim się znajdował. Docent Jacek miał motywację, miał chęci, miał również cel, którego nie zaniechał do końca.

Kiedyś Mateusz i Jacek byli przyjaciółmi, łączyły ich wspólne podróże w góry Kaukazu, wypadki nad jeziora i marsze od schroniska do schroniska z plecakiem po Sudetach. Obecnie nie było niczego poza litością. Mateusz otwierał drzwi swojej klatki z odrazą na widok Jacka, ale przecież wiedział, że musi to zrobić. Wskazywał łazienkę, a potem kładł kilka czystych rzeczy na krzesło i opuszczał pokój. Kanapki zniknęły szybko i po chwili Jacek bez słowa opuszczał złotą wieżę. Wraciał tam gdzie zespolił się z naturą, gdzie wydawało się mu, że ją udobruchał, podporządkował sobie. Wegetował, jadł korzonki, jagody i kanapki u Mateusza, czasami coś ze śmietnika.

Tak żył docent Jacek, dopóki nie wylądował ten statek z obcej galaktyki Goldowia i gdy na kilka dni nie uprowadzili go

szła do pracy. Nie była ładna, potem ją zabił. Uderzał kamieniem w tył głowy tak długo, aż przestała oddychać. Potem stwierdził, że poza momentem seksualnego podniecenia, spojrzenie kogoś konającego daje mu większą satysfakcję. Większą niż sam stosunek. Odtąd szukał brzydkich i starych, bo mniej się bronią. Wprowadził się do Marzeny tylko po to, aby kilka dni później przyglądać się, jak jej okaleczone ciało od ciosów zadanych nożem zalewa się krwią. Tak majestatycznie, jak u Edvarda Griega. Lubił jego muzykę i dziwił się czasem Mateuszowi, że nie znosił klasycznej muzyki. Skrycie podkochiwał się w Elizie Mateusza i po rocznym jej poszukiwaniu, odnalazł ją na północy kraju w wiadomym sobie celu. Doświadczony komisarz Rydelski z Komendy Policji na widok rozczłonkowanego ciała kobiety w wannie, dostał torsji.

Na jakiś czas docent Jacek wrócił do ziemianki. Znowu jadł korzonki, kradł ziemniaki i szperał w śmietniku. Do Mateusza nie zachodził. Krystynę zobaczył na grzybach i poszedł za nią. Zgwałcił, potem znowu wrócił i gwałcił. Poszedł, wrócił jeszcze raz, ale już nie żyła. Zniechęcił się, długo spał. Po kilku dniach spalił ziemiankę i wyjechał do miasta. Zgolił brodę i obciął włosy. Kosmici już mu nie zagrażali, więc wyrzucił kask. Prawdopodobnie zakochał się w sprzedawczyni Jolancie ze sklepu spożywczego koło noclegowni i pozwolił jej się uwielbiać pół roku. Potem zdjął z niej skórę i ponownie wyjechał. Był jednak na tyle próżny, że zapisał to, co według niego stanowiło istotę jego nowego życia.

Młodszy aspirant Gródecki podczas rutynowego przeszukania mieszkania znalazł szesnastokartkowy zeszyt z odręcznymi rysunkami i szczegółowym opisem dotychczasowych zbrodni. Po pół roku Jacek zaczął być sławny, choć dalej był w pół kroku przed kolejnymi specjalistami od kryminalistyki. Mateusz rozpoznał go w Wiadomościach. Zamknięty w wysokiej wieży przeczuwał, że kiedyś zadzwoni, a on jak zwykle go wpuści.

W jakieś pół roku później zdarzenia nastąpiły błyskawicznie. Przyszedł, wykopał się i zjadł kanapki. Nie zamienili słowa. Siedzieli naprzeciw siebie i przyglądali się sobie. Ten nóż pod kocem mocno uwierał Mateusza. - Kiedy zdecydować się na cios? - myślał. - Tak, teraz on, Mateusz wymierzy dawno oczekiwany wyrok! Nie zdążył krzyk-

nąć. To był jedyny taki skok w wykonaniu niepełnosprawnego artysty ze złotej wieży. Jego nagie ciało okryte kocem przykrył inwalidzki wózek. Ktoś jednak długo stał w oknie czwartego piętra, spoglądając w dół na puste o tej porze podwórze z krwawiącą raną i z wbitym w klatkę piersiową nożem.

Po kilkunastu minutach ciało mężczyzny przeszło powietrze.

Czesław kowalczyk, Słupsk



kosmici. Choć żadnych dowodów nie było, to jednak Jacek po powrocie się zmienił. Przestał kochać matkę naturę i z obrzydzeniem patrzył na swoją ziemiankę. Jego umysł ewoluował. Zapragnął czegoś lepszego, bo zapragnął kobiety. Gdyby jej nie zapragnął, żyłby pewnie do dzisiaj w swej zieloności, słuchał śpiewu ptaków i przestrzegał matkę naturę przed seksualnymi zapędami człowieka.

Pierwszą kobietę zgwałcił nad ranem koło torów, kiedy

Lipce u progu lata



Jednego dnia ksiądz z organistą pojechali na odpust, więc ludzie zebrali się obok cmentarza, pod kapliczką z figurą Matki Boskiej, którą to „każdego maja przystrajały dziewczyny w papierowe wstęgi a korony wyłacane i polnym kwieciem obrzucały”

Nastał maj. Dni mokre, że w pole nie można wyjechać. Jedynie ziemniaki kobiety idą sadzić, pod motyczkę. Na Borynowym polu komornice, które przyszły na odrobek, „stanęły wnet do roboty, po dwie na zagonie, głowami do siebie - dziubały motyczkami dołki, a wraziwszy węń ziemniak, przygarniały go ziemią, okopując zarazem w poprzeczne rzędkie”. Niesporo im to idzie, bo zimno i siąpi deszcz, ale już zanosi się na odmianę pogody: koguty pieją, jaskółki zaczynają śmigać, a wrony zrywają się z kalenic i niosą się cicho a nisko nad polami. Zresztą, dzisiaj od południa święto: procesja na polach, odłożona ze św. Marka na oktawę, ale i coś innego jeszcze wieś będzie świętować - chłopcy wracają, wypuszczone z aresztu. Szykują się zatem gospodynie, szykują dziewczuchy, a w każdej chałupie gorączkowe przygotowania: „kurzyło się ze wszystkich prawie kominów, smaczne jadła narządzali, radość wydierała się z chałup i babie jazgoty niesły się od chałupy do chałupy, dzieuchy przyodziewały się świątecznie, wstęgi zaplatając w kosy, niejedna w dyrdy leciała po gorzałkę, bo Żyd, ucieszony powrotem chłopów, dawał na bór, ile ino kto chciał, a coraz to ktosik wlażył na drabinę i z dachów przepatrywał pilnie wszystkie drogi biegnące od miasta...”.

Tymczasem po obiedzie rozpogodziło się na dobre, słońce zaczyna dogrzewać, a „kiej słońce odtoczyło się na parę chłopów z południa”, zaczęto się zbierać przy kościele. Ksiądz wyszedł, w komżę i stułę ubrany, i rozpoczyna się procesja przez wieś: Pietrek z krzyżem, wójt i sołtys chorągwiemi, kto ze świecami, organista, a dalej kto tylko żyw ze wsi; na samym końcu zaś wlecze się stara Agata i ślepy dziad kolebie się o kulach. Dobrodziej intonuje „Kto się w opiekę...” i tak, śpiewając, dochodzą wzdłuż rzeki do pierwszego kopca, pokrytego krzakami rozkwitłych tarnin. Otaczają go kręgiem i tu ksiądz odczytuje modlitwę od gradu. Ruszają dalej, za łąki, aż docierają do drugiego kopca, wielkiego, a powiadają, że pod nim zabici na wojnie leżą. Tu, pod spróchniałym już krzyżem, ksiądz odmawia modlitwę od moru. Idą dalej koło pól i pod trzecim kopcem modlą się „od ognia”. Ale już nikt nie może się skupić, bo chłopcy wrócili! Wyszli zwartą gromadą z lasu, z odkrytymi głowami czekają, aż ksiądz skończy modlitwę. A wtedy „naród skotłował się kiej ten wrzątek kipiący. Buchnęła wrzawa, śmiechy, cmokania, płacze radosne, dziecińskie jazgoty, gorące słowa i szepty, krzyki, wołania tęsknic z nagłą zapomnianych”. Na ostatni, czwarty kopiec pociągnęli już wszyscy.

Cała wieś w radości. Są chłopcy, to już i w polu, i w obejściu wszystko wróci do właściwego porządku. Jedynie w Borynowej zagrodzie cicho, bo Antka tak szybko nie wypuszcza. Hanka musi dalej sama borykać się z całym gospodarstwem. A tu jeszcze, jak i u wszystkich, przednówek. Dla Hanki nie jest on tak ciężki jak u co niektórych, ale do żniw, do nowogo, jeszcze daleko. A że trafia się akurat jarmark w Tymowie, każdy sprzedaje co może: „wozy się z wolna wytaczały jeden za drugim, boć i gospodarze wywozili, co kóren miał, gdyż wójt o podatki wołał i karami straszył, zaś gospodynie też się wybierały ze swoim dobrem, że często gęsto kokoszki gdakały spod zapasek lub tęgi gęsiór zasyczał z wasągą”. Kto tylko może, jedzie albo idzie do miasteczka, bo jedni dla sprzedania, „zaś drugie szły la zgwarzenia się ze somsiady, la obaczenia świata i wypicia choćby tego kieliszka”. Bo przecież „każden miał swój frasunek, a kajże się to naród pocieszy, wyżali, skrzepi, a nowin dowie, jeśli nie na jarmarku lebo na odpuszcie?”.



Pod koniec maja nastały upały. Dnie wstawały ciche i duszne, a i noce były tak nagrzane, że już po sadach sypiali, bo trudno było wytrzymać z gorąca w chałupach. Trawy na ugorach wypalone, warzywa żółkną, ziemniaki ledwie chude łęciny płożą. Czy to z gorąca, czy z przednówkowych kłopotów, zaczynają się swary w Lipcach. „A to Kobusowie się pobili, jaże ksiądz musiał godzić i napominać, a to Balcerkowa z Gulbasem kudłów sobie nastrzępili o prosiaka, kóren marchew spyskał, to Płoszkowa pożarła się ze sołtysem o przemienienie gąsiąt; to o dzieci szły kłótnie, to o szkody somsiedzkie, to o bele co...”. Pokłóć się, to i pogodzą, jak zwyczajnie. A wieczorem nabożeństwo majowe. Jednego dnia ksiądz z organistą pojechali na odpust, więc ludzie zebrali się obok cmentarza, pod kapliczką z figurą Matki Boskiej, którą to „każdego maja przystrajały dziewczyny w papierowe wstęgi a korony wyłacane i polnym kwieciem obrzucały”. Sporo się Lipczaków naszło, świeże kwiaty niosą, świeczki przed figurką zapalają. Na przedzie kłęczą kowal, i on zaczyna śpiewać:



„Dobranoc, wonna lilija, dobranoc!”. Za nim inni, a ludziom wtórują słowiki swymi słodkimi kląskaniami. „I już wraz śpiewali wszystkie, i naród, i ptaszki, i skrzypce, a kiej na to oczymgnienie ustawiali, kiej słowiki tak się zanieśli, aż cichło, a struny jakby tchu nabierały, wtedy nieprzeliczony żabi chór podnosił rechotliwe głosy i grał zgodliwym skrzekiem i nukaniem przeciągłym”. Długo trwa nabożeństwo, aż mrok gęstnieje, noc nadchodzi ciepła i cicha, a na niebie rozbłyskują gwiazdy.

Mijają znojne dni. Roboty w polu i obejściu od rana do wieczora. Gdy nadchodzi Boże Ciało, już w przeddzień ludzie wcześniej z pól schodzą. Trzeba przecież ołtarze porobić: wkopać brzozy i świerki, przyozdobić, drogi wysypać żółtym piaskiem i pozarzucać tatarakiem. W samo święto już od rana kończenie ołtarzy, a ten przed Borynowym domem piękniejszy nawet od młynarzowego: „przed gankiem stanęła kieby kapliczka, wypleciona z brzozowych gałęzi a zieleni, wykryli ją całą wełniakami, że jaże grało w oczach od kolorów, zaś w pośrodku, na podwyższeniu, stanął ołtarz, przykryty bielušką i cienką płachtą i zastawiony świecami a kwiatami w doinkach, które Józka oblepiła w strzyżki ze złotego papieru. Wielki obraz Matki Boskiej wisiał nad ołtarzem, a pobok zawiesili mniejsze, ile się jeno zmieściło. Zaś la większej przyozdoby, nad samym ołtarzem przyczepili klatkę z kosm, którego Nastusia przyniosła: ptak się wydierał po swojemu, że mu to Witek z cicha przygwizdywał”. Ołtarz gotowy, a samemu też trzeba się ubrać - Józka cała w bieli, na nogach trzewiki zasznurowane czerwonymi tasiemkami. Inne dziewczyny też na uroczysto, „biegały kiej oparzone jedne do drugich, przymierzając stroiki, a czesać się...”. Czas już do kościoła, na sumę. Po mszy rozbrzmiewają wszystkie dzwony, śpiew gromko się rozlega, i zaczyna się formować procesja: chorągwie, obrazy niesione przez dziewczyny w biel ubrane, ksiądz pod baldachimem, z wysoko uniesioną monstrancją. Idą, a tłum wielki, bo to i z drugich wsi i dworów poprzyjeżdżali. Idą pod ołtarz u Borynów, potem do młynarzowego i kolejnych. Dobłą godzinę ciągnie się procesja, a upał wielki, ale „obchodzili zwolna, posobnie wszystkie ołtarze, przed każdym wystuchując Ewangelię i śpiewając nowe pieśni”. Po procesji znów na nabożeństwo do kościoła. Potem ze znajomkami pogwarzyć, pogościć się, a wieczorem do karczmy, na muzykę!

Nastały sianokosy. U Borynów ciągną wczesnym rankiem na pole Filip, Rafał i Kobus za odrobek, a Kłębów Jadam i Mateusz przynajęci. Wczoraj skosili łąkę koło kapuśnisków, a dzisiaj idą za rzekę, przy kopcach. Na miejscu „pozrucali spencerki, podwinęli portki do kolan, rozstawili się wpobok i

z prawej strony na lewą, cięli niestrudzenie, wpierając się w łąkę piędź za piędzią, tylko niekiedy przystawiał któryś kosę naostrzyć lebo grzbiet wyprostować i znowu siekł zawzięcie, ostawiając za sobą coraz dłuższe pokosy i wgniecione ślady nóg”. A pogoda służy, aż zbytnio, bo spiekota przyszła, że rzeczki wysychały, zboża żółkły, buraki i inne okopowe więdły, a na drzewa, z których już i tak drobny owoc zaczynał oblatywać, rzuciło się robactwo. W samo południe słońce stawało nad głowami rozpalone do białości, że obiad, który Nastka i Hanka z Jagustynką w dwojakach przyniosły na pole, kosiarze muszą jeść nad rzeką, pod kępami olch. A wszędzie wokół bije mocny zapach traw więdnących.

W taką to porę zmarło się Maciejowi Borynie. Od miesiący leżał w chałupie, z głową rozbitą w walce chłopów o las, o Bożym świecie niewiedzący. Hanka, Witek i Józka karmili go, poili, opatrywali. A co lekarzy, co okadzania - nic poprawy nie było. Leżał tak sobie, cichutko ku końcowi zmierzając. I jednego dnia nagle odzyskał świadomość, mówił, choć na jedno słowo do rzeczy dziesięć płonących, a w nocy... Gdy pierwsze kury zaczęły pisać, ocknął się Maciej ze snu, wstał i wyszedł na pole. Nabiał w koszulę ziemi, „szedł zagonami cicho, niby widmo błogostawiające każdej grudce ziemi, każdemu żdźbłu, i siał - siał wciąż, siał niestrudzenie. (...) Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał”. Aż nastał świt, i z nim przyszedł koniec na Macieja Borynę. Na ostatku już pustymi garściami siał, „jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, którego był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu”.

Na pogrzeb Macieja Boryny poszła cała wieś, nawet chore i kalekie się powlokły. Trumnę nieśli co najpierw gospodarze, a nawet sam dziedzic ją pośrodku podtrzymywał. Pomarł gospodarz przedni, w całej gromadzie znaczny. W chacie u Borynów smutek i żałoba, ale w Lipcach kolejne dni, a z nimi radości i frasunki, jak zwyczajnie. Roboty co niemiara każdego dnia, ale będzie czas na odpoczynek i weselenie się, bo zbliża się odpust na św. Piotra i Pawła. Będzie nabożeństwo i procesja, a po niej różności odpustowe na placu przed kościołem - i budy ze świętościami, i kramy z kielbasami, i z chlebem i kukielkami, i ozdoby kobiece, i katarynka.

Tymczasem nadchodzi lato. Ziemia „cała we kwiatkach i zieleni, i cała w ptasich śpiewaniach, w chrzęstach zbóż i brzęku pszczoł, a taka cudna, nieobjęta, weselna i przenajświętsza w onej mocy żywiącej, jaże piersi zapierało”. Rośnie chleb.

Jolanta Betkowska, Słupsk

Wojciech Młynarski - nasze życie!



Wojciech Młynarski pozostał w naszej pamięci jako jeden z najlepiej rozpoznawalnych twórców powojennej Polski i jeden z najwybitniejszych twórców polskich piosenek - obok Agnieszki Osieckiej, Jonaśa Kofty, Jeremiego Wasowskiego, Jacka Kleyffa. Bawił swoimi utworami publiczność i pracował dla kultury polskiej przez ponad 50 lat!



Był czołowym przedstawicielem środowisk kulturotwórczych mijającej epoki, wszechstronnym artystą, uniwersalnym wykonawcą i wielkim bardem. Przedstawiał w swojej poezji, tekstach piosenek podpatrzoną prozę życia, nasyconą humorem i dowcipem. Był kabaretowym kronikarzem rzeczywistości, celnym obserwatorem życia Polaków, twórcą obdarzonym niesamowitym talentem, satyrycznym spojrzeniem i radością życia. Ponad połowę stulecia bawił nas, zaskakiwał i prezentował śpiewem uchwycone niuanse całej mijającej epoki. To było nasze życie, do którego radość dostarczał swoją twórczością artysta. Urodził się w Warszawie w czasach mrocznej okupacji, 26 marca 1941 roku i szybko - w 1943 stracił ojca, inżyniera rolnego, zarządcy majątku w Kobylankach, niedaleko Mińska Mazowieckiego. Pochodził z rodziny wielce utalentowanej artystycznie. Siostra Barbara została

aktorką, poetką i popularyzatorką kultury polskiej w Szwajcarii. Stryjeckim dziadkiem obojga był kompozytor, dyrygent i skrzypek - Emil Młynarski. Jego córka i ciotka Wojciecha, Aniela zwana także Neli, wyszła za mąż za słynnego pianistę Artura Rubinsteina. Dzieci Anieli i Artura Rubinsteinów, m.in. aktor John Rubinstein i fotografka Eva Rubinstein, są kuzynami drugiego stopnia Wojciecha Młynarskiego.

Tradycje muzyczne były silne także w rodzinie matki Młynarskiego, Magdaleny Zdziechowskiej, która powróciła w 1943 roku z dziećmi do domu rodziców w podwarszawskim Komorowie. Tam przyszły autor piosenek spędził okres dzieciństwa i dorastał do podejmowania kolejnych wyzwań. Pisał pierwsze wiersze, reżyserował przedstawienia, w których występował z kuzynkami. Podczas nauki w Liceum Ogólnokształcącym im. Tomasza Zana w Pruszkowie pisał wiersze humorystyczne, dokumentujące życie szkoły. Sam je deklamował lub odśpiewywał podczas comiesięcznych apeli porannych.

W 1957 roku Wojtek zdał maturę i rozpoczął studia na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, które ukończył w 1963. Na czwartym roku włączył się w nurt kultury studenckiej i szybko stał się jednym z najlepiej rozpoznawanych jej twórców. Jeszcze w tym samym, 1960 roku zadebiutował przed szerszą publicznością w teatrze klubu studenckiego „Hybrydy”, którego ówczesny kierownik Jan Pietrzak zaproponował mu przygotowanie programu kabaretowego. Napisany i wyreżyserowany przez niego program „Radosna gęba stabilizacji” miał premierę w listopadzie 1962 roku. Dostrzegła go nie tylko krytyka, ale cieszył się też dużym powodzeniem publiczności. Teksty drwiły z ikon tzw. małej stabilizacji: z wygodnictwa i snobizmu, badylarzy i Matysiaków, konkretnych osób: Violetty Villas, Andrzeja Wajdy, Lopka Krukowskiego, Leopolda Tyrmanda, Krzysztofa Teodora Toeplitza i innych.

W maju 1963 roku premierę miał kolejny program również stworzony przede wszystkim przez Młynarskiego, pt. „Ludzie to kupią”. Przedstawienie to zapoczątkowało triumfalne zaistnienie artysty na scenach w Polsce, a potwierdzeniem celności programu była otrzymana nagroda na Ogólnopolskim



Fot. A. Wiernicki/Forum

Przeglądzie Kabaretów Studenckich. Był nią wyjazd zespołu do Paryża, gdzie zaprezentował swoje piosenki na tamtejszym Festiwalu Kultury Studenckiej. Tak wspominał Młynarski tamten czas - czas swojego debiutu w studenckim teatrze „Hybrydy” i początek artystycznej działalności: - Pozostałem w nim aż do obrony dyplomu i w dwóch programach „Radosna gęba stabilizacji” i „Ludzie to kupią” wykonałem sporo swoich piosenek. Muzykę komponował mi znany kompozytor, mój kuzyn - Roman Orłow. Niektóre z hybrydowych piosenek, na przykład „Po prostu wyjedź w Bieszczady” są pamiętane do dziś. Z Orłowem napisałem wtedy także mój pierwszy przebój „Jesienny pan”. Z „Hybryd” wyniosłem przeświadczenie o sile oddziaływania piosenki kabaretowej. Byłem przekonany, że piosenka to forma magiczna, w której w błyskawicznym skrócie można nawiązać kontakt z odbiorcą i przy pomocy metafory, aluzji, niedomówienia prowadzić z tym odbiorcą pasjonującą grę.

W tym samym 1963 roku Młynarski zaczął prezentować swoje utwory na organizowanych przez nowo powstały Program III Polskiego Radia Giełdach Piosenek Kompozytorów i Autorów. Dzięki temu powszechny rozgłos zyskały jego utwory „Pittekantropus”, „Z kim ci będzie tak źle jak ze mną” czy „Niedziela na Głównym”. Ten ostatni był pierwszym wykonywanym przez samego autora, który, za wstawiennictwem Kazimierza Rudzkiego, zgodziło się wyemitować Polskie Radio. Z tego też okresu pochodzą również jego pierwsze przeboje: „Ludzie to kupią”, „Pożegnanie szansonistki”, „Ulica Żabia”, „Ulica Kubusia Puchatka”, „Po prostu wyjedź w Bieszczady” oraz „Jesienny pan”. Ten ostatni w 1963 roku zaśpiewała na płycie Krystyna Konarska.

Na koniec studiów otrzymał propozycję pozostania na uczelni w charakterze asystenta, lecz nie przyjął jej i zdecydował się poświęcić pracy artystycznej. W tym okresie wprowadził się z matką, pracującą wówczas w Polskim Radiu, z domu rodzinnego do Warszawy, do przyznanego im mieszkania przy ulicy Lwowskiej. Mieszkał w nim praktycznie do końca życia. Na II Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, piosenki duetu Orłow-Młynarski wygrały w obu głównych kategoriach: „Z kim ci będzie tak źle jak ze mną” (w wykonaniu K. Jędrusik) - w kategorii piosenki rozrywkowo-tanecznej (ex aequo), a „Spalona ziemia” w wykonaniu Krystyny Konarskiej - w kategorii piosenki literacko-aktorskiej. Trzeci Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu okazał się dla Młynarskiego jeszcze większym sukcesem. W kategorii piosenki estradowej ex aequo zwyciężyły dwa jego utwory - zaśpiewane przez niego samego „Światowe życie” oraz „Polska miłość” w wykonaniu Hanny Skarżanki. Młynarski odebrał także nagrodę Rady Naczelnej ZSP dla najlepszego wykonawcy piosenki studenckiej oraz wyróżnienie za piosenkę „Trochę miejsca” z muzyką Piotra Figla.

Wielka popularność jego piosenek została wykorzystana w serialu telewizyjnym „Wojna domowa” z 1965 roku, a scenarzysta Jacek Fedorowicz zamówił dziesięć piosenek, które znalazły się w komedii muzycznej „Kochajmy Syrenki” z 1966 roku. Należy odnotować również współpracę Młynarskiego z wieloma kabaretami literackimi, m.in. z założonym wspólnie z Maciejem Zembatym „Dreszczowcem” - w latach 1963-1964, „Owca”, „U Lopka” - w 1963 roku, oraz z „Dudkiem” - w latach



Fot. A. Wiernicki/Forum

1965-1975 i 1988-1990. W latach 1964-1966 pracował również w Redakcji Rozrywki Telewizji Polskiej. Stworzył wówczas cykl tematyczny „Porady sercowe”, z tego okresu pochodzą m.in. piosenki „Polska miłość” i „Niedziela na Głównym”. W 1964 ożenił się z aktorką Adrianą Godlewską, w rok później urodziła się pierwsza córka Agata, a po pięciu latach druga, młodsza Paulina. Okres współpracy z Edwardem Dziewońskim i jego kabaretem tak wspominał: - Od początku ciągnęło mnie w stronę satyryczno-humorystyczną, starałem się, by tekst był dowcipny i dobrze „trzymał się” melodii. Współpraca z Dudkiem to była wielka szkoła pisania tekstów kabaretowych pod empię danego wykonawcy, oraz wielka szkoła omijania cenzury. W „Dudku” miałem zaszczyt napisać pierwsze piosenki z Jerzym Wasowskim, głównie dla Wiesława Gołasa. Ukoronowaniem tej współpracy był utwór „W Polskę idziemy”. Jeśli chodzi o omijanie cenzury to najbardziej charakterystyczne są dla mej „dudkowej” twórczości „Ballada o Dzikim Zachodzie” i „Po co babcię denerwować”.

Te dwa ostatnie utwory, a także utwór „W Polskę idziemy” Młynarski później, po wielu latach uważał za najbardziej charakterystyczne dla swojej twórczości. W latach 70-tych rozpoczął pisanie większych utworów. W 1972 napisał nowe libretto dla premiery „Henryka VI na łowach”, opery Wojciecha Bogusławskiego dla Teatru Wielkiego w Łodzi, do którego muzykę opracował Jerzy Dobrzański na podstawie dwóch oper Karola Kurpińskiego: „Lucyfer” i „Jadwiga, królowa Polski”. W 1976 premierę w warszawskiej Operze Kameralnej miała opera „Kalmora” Kurpińskiego, również z nowym librettem pióra Młynarskiego.

W dekadzie lat 70-tych Młynarski napisał też piosenki do musicali: „Cień”, „Awantura w Recco” - do muzyki Macieja Mateckiego, „Wesołego powszedniego dnia” i „Nędzy uszczęśliwionej epilog” - do muzyki Jerzego Derfla, „Niedopasowani, czyli Goliath” i „Wieloryb” - do tych ostatnich wspólnie z Krzysztofem Dzikowskim. Był także autorem nowych librett lub tłumaczeń musicali „Życie paryskie” Jacquesa Offenbacha, „Jesus Christ Superstar”, „Huśtawka”, „Fantasies”, „Chicago” i „Kabaret”.

Od początku kariery miał problemy z cenzurą. W 1976 roku był jednym z sygnatariuszy Memoriału 101 polskich intelektualistów protestujących przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Już w 1968

roku próbował opatrzyć swoją piosenkę „Lubię wrony” komentarzem, że - wbrew jej słowom - polskie wrony faktycznie na zimę odlatują na południe, natomiast do Polski przylatują wrony z krajów ówczesnego ZSRR. Cenzor nie zezwolił na „ujawnienie” takich tekstów. Ostatecznie nazwisko Młynarskiego znalazło się na specjalnej liście, na której umieszczono autorów znajdujących się pod szczególnym nadzorem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Ostatecznie zapis cenzorski na twórczość Młynarskiego zdjęto po ponad roku. Pod koniec lat 70-tych na świat przyszło trzecie dziecko Młynarskiego - Jan Młynarski, późniejszy kompozytor muzyki elektronicznej, multiinstrumentalista i wokalista. Gdy w kraju wybuchł stan wojenny, razem z Jerzym Derflem przebywał w Szwajcarii. Pojechali tam na zaproszenie siostry Młynarskiego, Barbary. 13 grudnia 1981 dali zaplanowany wcześniej koncert w Domu Polskim w Zurychu, który przerodził się w demonstrację solidarności z Polakami. Podczas tego wyjazdu odwiedził po raz ostatni Artura Rubinsteina w jego domu w Genewie. Choć wielu artystów skorzystało z okazji, by pozostać na stałe na emigracji, on podjął jednak decyzję o powrocie do kraju. Do Warszawy przyleciał 27 stycznia 1982 roku ostatnim na wiele miesięcy samolotem łączącym Warszawę z zagranicą. W odpowiedzi na bojkot, jakim wielu ludzi kultury objęło występy w Telewizji Polskiej, ponownie został objęty zakazem występów i publikacji. W bojkocie wystąpił z Rady Artystycznej Związku Artystów Scen Polskich. Jednak już w 1987 roku został uhonorowany Nagrodą Ministra Kultury i

znamiennie i uniwersalne słowa to również zawsze aktualne przesłanie, które zostało nam przekazane w jego artystycznym testamentie.

W roku 2003 odbył się benefis Młynarskiego - „swoisty hołd dla autora piosenek na czterdziestolecie jego pracy artystycznej. W Teatrze Ateneum miała miejsce premiera przygotowanego przez Magdę Umer widowiska „Młynarski, czyli trzy elementy”. W roku swego jubileuszu Młynarski dał również cykl występów pod wspólnym tytułem „Czterdziecia”. Magda Umer wiadomość o jego śmierci skomentowała: - Myślę, że Wojtek był jednym z najwspanialszych nauczycieli mojego pokolenia i zawsze mówię, że to on wychował tę powojenną inteligencję. Kończy się naprawdę pewna epoka - nie ma Jeremiego, nie ma Agnieszki, a teraz nie ma trzeciego z tych naprawdę wielkich, genialnych twórców, którym najwięcej zawdzięczamy w dziedzinie kultury słowa.

Przyjaciół Młynarskiego, muzyk i kompozytor Włodzimierz Nahorny powiedział: - Dużo razem pracowaliśmy, wcześniej utrzymywaliśmy bliskie stosunki, wręcz przyjacielskie. Widziałem, jak się dziewczyny chowają, zdają maturę, a później pracują. Wspólnie jeździliśmy z naszą płytą, graliśmy koncerty. Wojtek już tylko właściwie prowadził - jak on to mówił - „konferansjerę, którą rymuję”. To było wspaniałe, wszystko co robił, to robił naprawdę dobrze.

Swoją refleksją podzielił się też satyryk Jan Pietrzak: - Mam wielki sentyment do Wojtka za lata młodości, ponieważ na początku lat 60. w klubie studenckim „Hybrydy” razem robiliśmy pierwsze kabarety. Namówiłem, go żeby pisał teksty [...] Okazało się, że miał wybitny talent, łatwo mu to szło i pięknie pisał.

Podsumowanie twórczości artysty wieńczy zapis jego piosenek na wydanej płycie CD pod tym samym tytułem, pod którym wydana została w 2007 roku przez Społeczny Instytut Wydawniczy książka z tekstami autorstwa Młynarskiego lub w jego przekładzie „Moje ulubione drzewo, czyli Młynarski obowiązkowo”. W tym samym roku ukazała się płyta zespołu „Raz, Dwa, Trzy Młynarski” złożona w całości z interpretacji piosenek zarejestrowanych podczas koncertu w studio imienia Agnieszki Osieckiej. W kolejnych miesiącach płyta ta dotarła do pierwszego miejsca na liście najczęściej kupowanych płyt w Polsce, a następnie osiągnęła status złotej i platynowej płyty. Uzyskała także nagrodę Fryderyka 2008 dla najlepszego albumu muzyki popularnej.

W 2013 roku z udziałem autora odbył się w Sopocie I Festiwal Twórczości Wojciecha Młynarskiego, został entuzjastycznie przyjęty przez publiczność. W styczniu br. ukazał się zbiór jego wierszy i piosenek „Od oddechu do oddechu”. Dziś trudno się pogodzić z tym, że już W. Młynarskiego nie ma wśród nas, że nie usłyszymy jego charakterystycznej chrypkę przy wygłaszanych monologach i wykonywanych piosenkach. Zmarł po ciężkiej 15-miesięcznej chorobie 15 marca w wieku 75 lat. 24 marca pożegnała go najbliższa rodzina i tłumy wielbicieli.

Spoczął na Cmentarzu Powązkowskim w Alei Zasłużonych w Warszawie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
lipczyński@interia.eu



Fot. M. Makowski / Forum

Sztuki za całokształt twórczości. Rok później, wspólnie z Jerzym Derflem, otrzymał nagrodę kulturalną „Solidarności” za recital „Róbmy swoje” i za tytułową piosenkę, która stała się jednym z nieformalnych hymnów opozycji demokratycznej.

Władza ówczesna znała „ostrze” intelektualne Młynarskiego i cenzorzy mieli być czujni na jego twórczość, aby cokolwiek się nie ukazało, co nie byłoby zgodne z linią partii. Zachowała się z tych czasów anegdota, jak przeciwstawne i antagonistyczne ośrodki polityczne wykorzystywały teksty Młynarskiego. Ostatnie obrady Biura Politycznego podobno skończyły się hasłem „róbmy swoje” i to samo hasło było wykorzystane na zakończenie posiedzenia „Solidarności”. Te

Witold Pyrkosz – aktor uniwersalny

Wśród plejady aktorów mało jest takich, którzy tak głęboko wrośli w świadomość odbiorców jak Witold Pyrkosz. Zawsze zachwycał swoją niepowtarzalną osobowością aktorską, charakterystyczną dykcją, komediowymi rolami i wytrwałością w uprawianiu zawodu, do końca życia

Był najbardziej wytrwałym aktorem w swojej misji artystycznej, do końca grał wyznaczone role. Można stwierdzić, że na scenie, dochodząc 90 lat, pomatu przechodził w stan spoczynku – smugi cienia. Przez ostatnie lata spotkania z publicznością, prawie codziennie zapewniała mu rola Lucjana Mostowiaka w serialu „M jak Miłość”. Grał wspaniale dobrodusznego, zawsze wyrozumiałego męża, ojca i dziadka. Był przywoływany jako filmowy wzór osoby z autorytetem, żywo uczestniczącej w problemach polskiej rodziny. Telewizja przez odcinkowe emitowanie serialu dawała widzom możliwość śledzenia nie tylko losów bohatera, pokazywała też proces starzenia się i nieugiętą postawę aktywnego artysty.

Przez siedemnaście lat Witold Pyrkosz grał w tym serialu, posiadał niezliczoną ilość fanów, z którymi często się spotykał. Pamiętam, że IV Złot Fanów Serialu „M jak Miłość” w Gdyni w 2010 roku zaskoczył wszystkich dobrą kondycją aktora i liczbą zgromadzonych wielbicieli jego talentu. Aktorstwu poświęcił 60 lat swego życia. Urodził się 24 grudnia 1926 roku w Krasnymstawie. Był absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie. Zadebiutował w 1955 w sztuce Włodzimierza Perzyńskiego pt. „Lekkomyślna siostra” w reżyserii Tadeusza Kubalskiego, na deskach Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Wcielił się w niej w postać Janka Topolskiego.

Debiut ekranowy miał w 1956 w filmie „Cień” Jerzego Kawalerowicza. Uważany był za wybitnego, charakterystycznego polskiego aktora teatralnego, filmowego i dubbingowego. Na początku kariery zawodowej często występował w serialach, w których prezentował się jako aktor o nieprzeciętnych możliwościach i ciekawie stworzonych kreacjach. Do najbardziej znanych seriali z jego udziałem należą: „Janosik”, „Alternatywy 4”, „Czterej pancerni i pies”, a w ostatnich kilkunastu latach – wspomniany już „M jak Miłość”. W filmie szczególne uznanie i sławę dała mu rola zagrana w obrazie „Vabank” Juliusza Machulskiego. Zagrał też m.in. w „Mecie” Antoniego Krauzego, a ostatnim filmem, w jakim mieliśmy okazję go oglądać jest „Bajland” Henryka Dederki. Był również współtwórcą i reżyserem kabaretu „Dreptak”.

Kilka nakręconych seriali telewizyjnych z jego udziałem już na początku kariery, a potem wielokrotnie powtarzanych przez TVP, utrwaliło u widzów i w krytyce uznanie dla artystycznych możliwości tego aktora. W 1973 został nakręcony 13-odcinkowy serial „Janosik” w reżyserii Jerzego Passendorfera. W. Pyrkosz zagrał w nim sławetnego Pyzdre i – jak się później okazało – przeżył wszystkich filmowych bohaterów, którzy występowali razem z nim. Dawno odeszli przecież Marek Perepeczko, Bogusz



Bilewski, Janusz Bukowski, Mieczysław Czechowicz i Marian Kociniak. W serialu tym W. Pyrkosz był zaskakująco dowcipny i niefrasobliwy jako kompan samego harnasia, znakomicie się zaprezentował, dodając filmowi osobistego uroku kreowaną rolą.

W rolach komediowych miał zawsze wielkie powodzenie. We wspomnianym już filmie „Vabank”, zrealizowanym w 1981 roku przeszedł do pamięci widzów jako niezastąpiony kasiarz Duńczyk, towarzysz Henryka Kwinto. Za swoje filmowe i teatralne kreacje (m.in. w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, teatrze Polskim we Wrocławiu, Teatrze Polskim w Warszawie, Teatrze Telewizji) otrzymał wiele nagród. W 2005 roku otrzymał Super Wiktora za największą osobowość telewizyjną i Telekamerę w plebiscycie czytelników „Tele Tygodnia” w kategorii najlepszy aktor. W 2007 roku, w tym samym plebiscycie otrzymał Złote Spinki za całokształt twórczości. W 2014 doceniony został

Nagrodą Honorową „Jańcia Wodnika” za całokształt twórczości filmowej oraz Nagrodą Specjalną Prezesa Telewizji Polskiej na XXI Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej „Prowincjonalia” we Wrześni, za „wybitne kreacje charakterystyczne, które w wykonaniu Witolda Pyrkosza, stają się pierwszoplanowymi; za radość i pasję bycia aktorem wszechstronnym: filmowym i telewizyjnym; za ekspresję i dowcip, które sprawiają, że nasze życie łagodnieje i jest pełne piękna oraz uśmiechu”.

Aktor zmarł w wieku dziewięćdziesięciu lat 22 kwietnia br. w Warszawie. Na pogrzeb 28 kwietnia na cmentarz w Górze Kalwarii przybyła niezliczona liczba wielbicieli jego talentu. Przybyli aktorzy serialu „M jak Miłość”. Został odczytany m.in. list pożegnalny prezydenta RP Andrzeja Dudy. Prezydent napisał w nim: „Zapamiętamy Witolda Pyrkosza jako aktora pełnego inwencji, pasji, nowych pomysłów. Jako serdecznego, dobrego człowieka. (...) Kreowanych przez niego bohaterów cechuje pogoda ducha, humor, błyskotliwy dowcip, a także aktywna postawa wobec świata. Próbuje oni w życiu odnaleźć część nadziei, mimo przeciwnieństw losu i sytuacji, nad którymi nie zawsze udaje się zapanować. Zwykły mawiać o sobie, że „jest po prostu aktorem”. To szczere wyznanie doskonale oddawało jego postawę pełną umiaru i pogodnego dystansu. Powtarzał też, że aktor nie może stać w tłumie, że zawsze powinien zaznaczyć swoją obecność. Tej zasadzie pozostawał wierny przez całe życie”.

Nie ma już Witolda Pyrkosza. W naszej pamięci pozostaną jednak jego niezapomniane kreacje filmowe i teatralne, które przejdą do historii kultury polskiej.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Jacek Bierezin - poeta wyklęty



Jacek Bierezin uważany jest za jednego z najciekawszych poetów pokolenia 68



To łódzki poeta opozycyjny czasów PRL-u. Zmarł 26 maja 1993 roku w Paryżu, mając zaledwie 46 lat. Był również taternikiem, ratownikiem i publicystą. W 1965 ukończył Liceum Ogólnokształcące im. M. Kopernika w Łodzi. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim. Jego opozycyjna działalność przeplatała się z literacką. Pierwszy wiersz wydrukował w „Więziach”. Zapisał się do grupy poetyckiej Centrum i był jej członkiem do 1971 roku. Dla młodego poety były to ciekawe i jednocześnie bardzo trudne lata.

W marcu 1968 r. został członkiem komitetu strajkowego na Uniwersytecie Łódzkim, w 1969 - członkiem organizacji Ruch, w grudniu 1970 był aresztowany. Po przesłuchaniach zwolniono go w marcu 1971, ale już w sierpniu skazano na półtora roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata. Usunięto go również z uczelni. Powrócił na nią dopiero w 1973 roku. Jego tomik poezji „Wam” został odrzucony przez cenzurę w Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik. Ukazał się dopiero nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu. Zemściło się to całkowitym zakazem druku w Polsce. W grudniu 1975 r. podpisał List 59, skierowany przeciwko zmianom w Konstytucji PRL. Prowadził dalej bardzo aktywne życie opozycyjne. Począwszy od 1976 roku był współpracownikiem Komitetu Obrony Robotników, później Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. W 1974 rozpoczął studia etnograficzne, których nie pozwolono mu ukończyć. We wrześniu 1977 podpisał Deklarację Ruchu Demokratycznego.

Jacek Bierezin jesienią 1977 r. był jednym ze współzałożycieli pisma „Puls” i współzałożycielem Niezależnego Klubu Dyskusyjnego w Łodzi. Działał bardzo aktywnie. W stanie wojennym został internowany. Od 13 grudnia 1981 do września 1982 r. przebywał w Jaworzu i Dąbówku. Po zwolnieniu wyjechał ponownie do Paryża. Do jesieni 1983 kierował londyńską odmianą czasopisma „Puls”, jednak później zerwał kontakty z redakcją.

Na emigracji współpracował też z „Kulturą” i Radiem Wolna Europa. W latach 1987-1988 kierował

miesięcznikiem „Kontakt”, następnie przez cztery lata był redaktorem naczelnym wydawnictwa o tej samej nazwie. Zginął tragicznie potrącony przez samochód na moście Pont de Alma. Został pochowany w Łodzi na Cmentarzu Doły. Był członkiem Polskiego Pen Clubu, Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Potrącony przez samochód w Paryżu wstał, po czym z podniesionymi do góry rękami wszedł pod następny samochód - ciężarówkę. I już został. Był zupełnie trzeźwy.

To chyba ostatni z wyklętych poetów. Jakby wciąż szukał swego miejsca na ziemi. Nigdy nie zasymilował się z emigracyjnym Paryżem i do końca nie poznał języka francuskiego. Nie tęsknił za krajem po to, żeby napisać wiersz, ale tęsknił naprawdę. Nie wymyślał widoku góry, tylko szedł ku niej, aby na nią się wspiąć.

Nigdy nie otrzymał od władz PRL zgody na udział w wyprawach w Alpy czy Himalaje, na które był typowany. Był poetą odważnym, wypowiadającym się niezależnie od okoliczności. Pisał: „Wam, którzy jesteście pod wpływem przemożnej logiki codzienności, konieczności, strachu i podłości dalszego socjalistycznego rozwoju osobowości, życzę święty Mikołaj.”

W Łodzi organizowany jest od 1995 r. jeden z najważniejszych konkursów poetyckich im. Jacka Bierzina, od kilku lat wspierany przez Poleski Ośrodek Sztuki w osobach Andrzeja Strąka i Zdzisława Jaskuły. Od 1995 r. przyznawana jest też prestiżowa nagroda dla debiutantów w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Jacka Bierzina. W 2006 r. poeta ten został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Jadwiga Michalak, Naémierz

Jacek Bierezin (1947 - 1993)

Z TOBĄ BEZ CIEBIE

Paryż, Paryż bez Ciebie
jest tylko jeszcze jednym, smutnym,
wyludnionym, wschodnioeuropejskim miastem,
jak Wieluń, Warszawa czy Władywostok.
To nie będzie wiersz, to list,
wyznanie, wyzwanie, wołanie, włóczęga,
walka, wyjście na ring-
jednym słowem wszystko na „w”,
jak Weda, jak wielkość, jak wielki brak,
jak vestibulum vaginae, woda, wino, wódka
i wygnanie z kolejnej ojczyzny
wykolejenców wtopionych w widnokrąg,
w wielki pejzaż, wschód i zachód
tego miasta wytatuowanego na skórze
(na imię zawsze będziesz miała Wschód),
jak wyjść z czasem, jak wola
wygranej, a nie ma wrogów
wartych...
Jak wyjść z Ciebie: opuścić jakieś miejsce,

zwykle udając się dokądś, w jakimś celu.
Wyjść z domu. Wyjść na spacer. Wyjść po zakupy.
Wyjść do miasta. Wyjść naprzeciw kogoś.
Wyjść na wolność i widzieć Ciebie.
I nie móc wyjść z podziwu, z osłupienia,
ze zdumienia, nie móc się nadziwić
Twojej miłości. Twojej skórze, włosom,
ręsom, oczom, piersiom, udom, zapachowi
podróży do Ciebie i w Ciebie.
I coś wychodzi na jaw, na światło dzienne,
przestaje być tajemnicą, staje się znane,
zostaje ujawnione, wychodzi obronną ręką,
krzykiem bez szwanku, bez skazy, piękne
jak Twoja bliskość i Twoje oddalenie.
Jak wyjść z Ciebie, zacząć grę, rozgrzewkę,
kładąc najważniejszą kartę: wyjść w damę karo,

wziąć początek, wywieść się skądś,
robić dla Ciebie wszystko, ale
żebyś nie była wszystkim.
I jak wyjść z Ciebie nie wychodząc nigdy,
być zawsze w Tobie i zawsze odchodzić.

Paryż, sierpień 1989 r.

wiersze najnowsze

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

MARGOT NA TRISTAN NARVAJA

Dobrze że odwiedziłaś ten Pchli Targ
co tam nie ma dla ludzkiego oka
dobrze bym się tam poczuł
pośród ludzi oglądających i kupujących.

Nie o to chodzi że jesteś boska
to już pisałem w którymś wierszu
zaznaczyć chcę iż w Montevideo
czujesz się jak u siebie - to prawda?

Tylu muzyków gra - poeci piszą
o (de Tristán Narvaja) a malarze
malują poszczególne fragmenty -
nawet bywał tu pisarz James Joyce.

Tubylcy tańczą tango z miłości
niezaprzeczalny element ich życia
to jakby dodatek dla średniej klasy
gdzie w tym skupisku jest radość.

- Czy wiesz że tymi ulicami spacerowała
Marilyn Monroe!

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

WSPOMNIENIE O RODZINNEJ WSI

Co najgłębiej utkwilo we mnie ze
wspomnień młodości?
Czego nie potrafię wyrazić wierszem,
a chciałbym to zapisać zwięźle na
bezmózgowej głowie kamienia - wyryc
na jego czole niczym magiczne zaklęcie
dwóch dat: narodzin i śmierci?

Czy moja młodość potrafi znaleźć miejsce
na uwięzionej w przestrzeni
niezmaterializowanej tablicy - zapisać
się wierszem? A może nigdy nie uda mi
się wyrazić słowem stanu ducha, do
którego powracam zapisaną we mnie
wioską?

Zapisać łąki, pola i tor kolejowy
pomiędzy lasami, którym raz na dobę
przejeżdżał pociąg z Dziadowej Kłody
do Sycowa.

Z okien którego widać było jedynie
kolczaste krzewy pokryte białym
kwiatem taminy, wbite w pamięć jednej
z tamtejszych wiosen.

I jeszcze, żeby wyrzucić z siebie
to wszystko, zapisać konia, wóz
z żelaznymi obręczami, i krowy Mućkę
oraz Łaciatą.

Na łące żaby i motyle, węgierki
w sadzie i rajska jabłoń przy domu.
I radość z kromki chleba polanej
śmietaną i posypanej cukrem.

KWITNĄCY OGRÓD

Bielą kwiecica, jak ja stróżką krwi przez
palce Wszechświata, przecieka mój
wiosenny ogród.

Razem przeciekamy przez ten wiosenny
czas, wpisujemy się w pamięć wioski.

W moim ogrodzie zakwitła róża.
Zakwitły nią moje oczy. Róża nie
jest teraz zwykłym kwiatem - to
Wszechświat. Przecieka przeze mnie jak
motyl wieczoru jeszcze jedną wiosną.

Rankiem rozgarnę mgłę i osuszę
z niej kwiaty chłodu. Nie ma niczego
piękniejszego w mojej wsi niż rozmowa
z rosą. Nie ma gorętszych pragnień, niż
zatrzymanie tej wiosny, choćby w snach.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

MNIE WYSTARCZY

A ja się cieszę, że tu mieszkam
W tym małym kraju pomiędzy swymi
Wśród zwykłych ludzi, szczebiotu ptaków
Dawnym kominku co ciągle dymi

Albo gdzie dzieciot z kukułką swary
Rozgłasza w eter brzoźowych fryzur
I gdzie na przerwie podczas obiadu
Ma pani Magda przy dzieciach dyżur

Podczas wycieczek po jodu koszyk
Zmieszany w Ustce nadmorskich kroków
Niosąc do domu prawdziwki z lasu
Z garścią sąsiedzkich wścibskich wyroków

Ze szczekającym zza płotu psiakiem
Albo dziś rzadkim widokiem krowy
Co się cielakom chowa na chwilę
W wianku kwiecistym łąki gotowym

Pod lipy smutnym spojrzeniem starym
Którego szczypią słone łązy czasów
Ze wspomnieniami spisanych dziejów
Na białoczerwonej kartce z atlasu

Przy wspólnym śpiewie niedzielnej mszy
Pełnym radości wieczorku wsi
Wędrując miasta szlakiem znajomym
I gdy się wszystko od nowa śni

Wiem, że daleko są inne kraje
Co mają w sobie skarby bogate
Ja mogę chętnie lecz tylko na chwilę
Moim klejnotem ma Polska latem

Zimą gdy błyszczy w sukni z brylantów
Śłodkim ciepłkiem rodzinnych świąt
Więc może innych kuszą salony
Mnie zaś wystarczy ten skromny kąt

MAMO

Zazieleniły się fotele przy Twojej samotni
Skrzył się w nich popołudniowy zapach
rzepaku

Lubiłaś siadać na seledynowej ławeczce
Między polnymi pokojami i smakować
Złocisty deser majowego nieba...

Obudziły się ogrodowe śpiochy
I porozumiewawczo mrugają na powitanie
Drocząc się z obrażonym bieleńskim bżem
I prosząc o chwilę uwagi zbłąkane spojrzenia
Jakbyś tu była i miała za chwilę musnąć
je dłonią...

Nawet szczaw spragniony pochwał i baśni
Tych spływających z Twych ust wśród widoku
Ukochanych tańczących jaskółek
Schował się pomiędzy rozwichrzone grzywy
Dojrzewającego dumnie mniszka...

Pamiętam te wszystkie klejące się wianki
Splecionych żółtych ozdób poranka
Albo spacerujące nasze stopy
Po świeżo skoszonym dywanie wśród
Odgłosów płaczącej i zmęczonej kosy...

Tęsknię za Twoim uśmiechem na widok
Brudnych policzków i ubłoconych nóg
Albo nawet grymasem złości
Kiedy z łoskotem strącony wazon
Upada przez nas i pęka na pół...

Dziś odświeżam barwy tamtych obrazków
Ławym połyskiem niespełnionych pragnień
I przyklejam do wieczornych szeptów
Zdobiac z serca westchnieniem

Emilia Zimnicka, Izbica

WIOSNA 2017

Wiatr włóczęga chłoszcze
Mroźnym podmuchem
Rozkwitające pąki jabłoni
Chcą się schować, jak
człowiek przed złym losem

Lecz nie mają gdzie
Taka już ich dola
To kwiaty mego serca
Które wiatr w ciągu długiego
życia zmroził
Nie doczekam chyba słońca i ciepła
Trudno, odpływa moja łódź
do ostatniego portu
Czas już by skołatana głowę
W czarnej ziemi na wieki położyć

Regina Adamowicz, Koszalin

DŁUG ISTNIENIA

Przyszłam na świat przed laty
A życie dał mi dobry Bóg
Jestem mu wdzięczna i na raty
Swego istnienia spłacam dług

Choć mi niełatwo z wielkim trudem
Wędruję poprzez wiele lat
Początek życia zwany cudem
Wciąż zagrożony jest przez świat

Światelko życia mały płomyk
Ten najcenniejszy Boży dar
Pragnę go zanieść zapalony
By go nie zgasił wrogi wiatr

Tyle przemocy wciąż na ziemi
Zło i nienawiść kuszą nas
Więc czynmy dobro zapatrzeni
W nieboskłon pełen blasku gwiazd.

Tereska Ławecka, Słupsk

PŁOMIENIE PAMIĘCI

Za współcześnie żyjącymi
Maszerują
Cienie przodków
Z rdzawymi plamami
Na łańcuchach
I poszarpanych mundurach
Niemo śpiewają hymn
Nad nimi
Polskie dusze
Jak szlachetne kamienie
W piastowskiej koronie
Błyszczą miłością
Do ojczyzny

POWROTY

W eleganckim płaszczu
Ze skórzaną torbą
Oklejoną
Zagranicznymi nalepkami
Wracasz do domu
Z emigracji
Między lotami
Kupiłeś
Małą filiżankę kawy
Za dwadzieścia cztery złote

Wszak stać cię na to
Przecież jesteś już bogaty
W trakcie czekania
Zgłodniałeś
Z cynfolii
Wyjąłeś
Czarną kromkę chleba
Z białym salcesonem
Bez listka sałaty

Małgorzata Beskosti, Słupsk

KOCHAŁAM CIĘ JAK KWITNĄCE KWIATY [...]

Kochałam cię jak kwitnące kwiaty
Jak płynące chmury po błękitach nieba,
byłeś dla mnie planetą, kosmosem, światem,
Byłeś wszystkim, czego było mi trzeba

Widziałam w tobie marzenia i jawę
przyszłość co lśniła blaskiem marzenia,
Widziałam w tobie barwy jaskrawe
Dziś widok nieba jest nie do zniesienia

Widziałam w czułości i wiary spełnienie
Przy tobie spokojność zająrzała mi w oczy
Lecz dziś słów brak jak trudne cierpienie
Zmieniło dzień w strach i ciemność nocy

I coś z tego mam, coś mam z tej miłości
Łez setki i myśli ciągnących w odmęty
Ach coś że to są te błędy młodości
I wspomnień płynących żałobne okręty

POTWÓR

To mnie zabija. Jak brak słońca i wody
Gniję i więdnę od środka nieprzerwanie
Od kiedy pozbawiłeś mnie swojej urody
Patrzę na potwora, ohydne drania

Dreczę wołając wczorajsze pragnienia
Lecz we mnie kona ostatni dech ułudy
Czemu mnie skrzywdziłeś? Złudzenia
Ukryły na długo, wrosły w tobie brudy

I kiedy nareszcie dostrzegłam cień słońca,
Zamarłam w bezruchu, otoczona gniewem
Dziś jesteś dla mnie ognia kulą palącą
Dotknąłeś mnie, umarłam i kim jestem
- nie wiem

Andrzej Szczepanik, Bytów

RADOŚĆ DYNGUSOWEJ WODY

W srebrnych przebłyskach kwitnącej wierzy
jawi się ciepło nieśmiałej wiosny
w mojej zmaczonej pamięci
jest miejsce na pisankowe kolory
i mały koszyk z wikliny
wypełniony święconką
zdobioną bukszpanową zielenią
jest radość dyngusowej wody

chlustanej roześmianym gestem
nieokiełznanej młodości

I jest modlitwa przy grobowej płycie
z wiązanką przyrzeczeń
wyszeptanych w hołdzie
Zmartwychwstałemu.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

WIATREM SPISANE SŁOWA

ciepły wiatr objął czule moje smutne myśli
potargał drzew konary i moją apaszkę
w kolorach wiosny z pocałunkiem słońca

śpiew ptaków nastroił struny zwątpień
i obaw wziął we władanie na stałe
straciły swą wyuzdaną surowość
wyrzeźbioną harmonią w przyrodzie

wiatr gwiżdże na palcach wiosny
świszcze w konarach gałęzi
pieszczotliwie głaszcze trawę i kwiaty
kołyszże swoim oddechem

komary w tanecznym kręgu
przebudzone dotykem słońca
na łące pod lasem
zapisują na mapie nieba
znane we wszechświecie melodie

Grzegorz Chwieduk, Kępice

TAK WYSZŁO

Nienaturalne gesty. Dalsza faza
choroby i umierania. Rzeczy, które
nie mają nic wspólnego z rajem.
Udawana miłość. Zwyczajna kura
domowa. Dziwne stany melancholii.
Regularne zdrady małżeńskie. Ktoś
ma nas dosyć. Ludzie inni niż kiedyś.
Sceny z wiejskiego serialu. Wszystko
jest złudzeniem. Roztrząskana
szyba przeszłości. Krótkie momenty
zmartwychwstania.

JUŻ WYSTARCZY

Ostentacyjna podejrzliwość. Oralne
popisy. Rekordowo długa wymiana
zdań. Niepokój coraz nachalniej
włazący pod czaszkę. Rozgrzebane
problemy. Odwrócony wzrok. Noce
pełne wykrzykników i obaw. Zbyt
radikalne i na pokaz rozwiązania.
Bezsensowny upór. Wygasająca miłość.
Zostawiony ślad w psychice. Potężne
tasiemce dyżurnych przekleństw.
Normalna nienormalność. Im głupiej,
tym mądrzej. Niepotrzebne marzenia.
Budowanie urojonych zamków na
lodzie. Wątpliwe światło. Serce podobne
do drewna. Bolesny wstyd. Kolejny
kieliszek.

Ziemowit Szafran, Słupsk

DLA KALLIOPE...

Świat woli złudzenia
 Nie wiersza poety
 Pragnie magii pustych słów
 Iluzjonistów demagogów
 Będę pisał dla Kalliope
 Jak cichy kochanek
 Ukryję wiersz...
 Niech schowany czeka
 Aż go ktoś odszuka
 Odnajdzie jak pożółkły list
 Ożywi z niepamięci
 Niczym czarodziej światłocieni
 Z negatywu fotografię
 Ukazując światło prawdy

NIEZAPOMINAJKI

Przyniosę tobie niezapominajki
 Bukiet niewinnych niezabudek
 Z modrych kobierców łak zebranych
 Srebrzystą rosą nakrapianych
 Muskanych promieniami słońca
 W koloru nieba płatkach
 W cieniu przy krzyżu je postawię
 Owinę wstążką uczuć z serca
 I tak bym chciał - kochana mamo

Na twoje święto znów ci wręczyć
 Modry bukiet - kwiatów pamięci
 Całując twe matczyne ręce

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

W nagiej przestrzeni
 dymów
 kołysz się horyzont
 umierających drzew

Nad połaciami
 wysuszonych traw
 płaczą zabłąkane ptaki

Moje oczy
 przesączone ziarnem
 niepokoju
 czekają na łzy Jowisza

W jęczącej studni
 wyparował błękit
 i krzywe zwierciadło
 z twarzą

Na próżno szukam
 ołowianych gór
 i walczących rycerzy

Tylko białe anioły
 malują ścieżki
 do niebios
 nad pustynią piekła

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ

rzeka już blisko
 dziewczęta wiją wianki
 gwiazdy rosną w mig

w zielonym lesie
 widmowy kwiat paproci
 błyska i mruga

melodia tanga
 srebrzysta niby rosa
 płynie do serca

jego dziewczyna
 zdejmując księżyc z nieba
 wpina we włosy

stoi się w jedwab
 a gradem pocałunków
 obsypie ją sam

ona mu różą
 najpiękniejszą na świecie
 takiej nie ma nikt

W hołdzie bohaterom getta warszawskiego



19 kwietnia 1943 roku wybuchło powstanie w getcie warszawskim, zainicjowane przez Żydowską Organizację Bojową, przy współudziale Żydowskiego Związku Wojskowego. Było odpowiedzią na hitlerowską akcję ostatecznej likwidacji pozostałej przy życiu ludności getta (ok. 70 tys. osób)

Pomocy powstańcom udzielały polskie organizacje konspiracyjne (m.in. GL, AK, Milicja Ludowa RPPS), zaopatrując ich w broń i żywność. Podejmowały one także akcje zbrojne za murami getta. Wyprowadziły z jego terenu nieliczne grupy powstańców, umożliwiając poszczególnym z nich dalszą walkę, głównie w oddziałach partyzanckich GL

go protestu, znalazło szeroki oddźwięk w kraju i poza jego granicami, oraz wywarło wpływ na wzmożenie ruchu oporu Żydów w innych gettach (m.in. w getcie białostockim) oraz w hitlerowskich obozach koncentracyjnych (bunt w Treblince, w Sobiborze).

Niemcy zniszczyli całkowicie getto, jego ludność częściowo zginęła na miejscu (ok. 20 tys. osób), a częściowo wywieziona została do obozu w Treblince (ok. 50 tys. osób). Przeżyli tylko nieliczni. Po nocach przeżywają ponownie tamten szok traumatyczny.

Powstanie w getcie warszawskim, jako bohaterski akt moralnego

Emilia Maraśkiewicz, DarłowoEmilia Maraśkiewicz, Darłowo

CIENIE

myśli o cieniach znajomych
 jakie do niego przyjdą o zmroku
 by porozmawiać dotknąć
 te wszystkie cienie

ongis były ludźmi z krwi i kości
 których znał i kochał
 teraz napawają go lękiem
 bo nie ma przed nimi ucieczki
 boi się wieczoru i nocy
 przychodzą jak wtedy
 gdy egzystowali wokół niego

aż do okropnego końca
 ich nabrzmiałe trupy
 wynosił w wieczną ciemność
 układał na bruku w stosy
 niedawno twarze swojskie
 a dziś wykrzywiają się już tylko
 w martwym grymasie

Hera i Zeus



*Gdy zajechała przed ganek
wykwintnym rydwanem
zaprzężonym w pawie o błę-
kitnych szyjach, dzień wła-
śnie podnosił złocistą głowę.
Śpłoszywszy mroki nocnych
tajemnic, przywitał nowe
nadzieje rezydentów ziem-
skiej i olimpijskiej krainy*

Hera wysiadła szybko i gwałtownie, jak to miała w zwyczaju i we krwi. Zazwyczaj oszczędna w ruchach, tym razem potknęła się o schodek wystający z misternie skonstruowanego pojazdu. Znaczyło to tyle, że jej głowa pozostała w jakichś innych przestrzeniach.

Była dumna, wysoka i poważna. Emanowała królewską pewnością siebie, którą naśladowali niżsi hierarchią bogowie. Jednak od kilku dni dostrzegało się w niej stan duchowego przygaszenia. Hera przybrała kamienną twarz i zapadła się w swój wewnętrzny świat. Zamknięta w swojej komnacie prosiła, by pozwolić jej tam spokojnie przebywać. Jedyne wyjście z ciemnego lochu następowało wraz ze świtem, gdy udawała się w przymusowy codzienny objazd świata. Poczucie obowiązku było w niej silniejsze niż postępująca lotem błyskawicy depresja.

Dotąd panowała rozumnie nie tylko nad całym światem, ale przede wszystkim - nad sobą samą. Dlatego posłuszna Iris ze zdziwieniem odkryła, że na tylnym siedzeniu rydwanu zostało nieupilnowane, bo wbite pomiędzy drewniane wzmocnienia szczerozłotego wozu, berło. Wcześniej pani wzorcowo strzegła swojego atrybutu, raz po raz odwracając głowę za prawe ramię, zwłaszcza podczas niebezpiecznego manewru skrętu w lewo. W starożytnej Grecji nawet najlepszy woźnica był zaledwie początkującym. Hera strzegła berła jak oka w głowie, w zasadzie traktowała je jako przedłużenie swojej prawicy. Zdezorientowana służąca szybko więc pochwyliła lśniąca bezognistą pochodnię i mechanicznie wbiła ją w dłoń dziwnie zachowującej się przełożonej. Ta, ledwie spojrzawszy na obojętny jej w tej chwili przedmiot, zważyła na nim mocniej palce, lecz po chwili cisnęła nim w wyścieloną purpurowym dywanem podłogę rydwanu. Berło było jej w tej chwili zbyt cenne jak uroda Atenie i mądrość Afrodycie. Iris pobladła i schowała twarz w dłoniach.

- Zawsze muszę dźwigać ze sobą to cholerstwo, jakby bez niego nie wiedzieli, że jestem najważniejsza - burknęła Hera w stronę służącej.

- Jest piękne, o pani. Szkoda je tak profanować - odpowiedziała pokornie Iris, szczerze zachwycona bogactwem

zdobień i doskonałym kształtem kulistego arcydzieła rzemieślniczej sztuki.

- Nie przed berłem powinni chylić czoła, lecz przed niewidzialnymi atrybutami królowej.

- Ludzie potrafią prawdziwie wielbić tylko złoto i szmaragdy. Niewidzialne dla nich nie istnieje.

- Więc gdy zażywam kąpeli, pozbawiona utkanych misternie szat, korony i pierścienia, przestaję być tym, kim dla nich jestem?

- Niestety tak, o pani.

- A zatem wzdychają do moich materialnych atrybutów, a nie do mnie?

- Atrybuty te są symbolem i częścią pani, o pani.

- Czyli bez nich jestem kimś innym niż sobą...

- Królowa zawsze i wszędzie musi nosić się po królewsku.

- W imię czego?

- W imię ideału. Jest im potrzebny do pogłębiania wiary.

- Wiara nie wyrasta ze złota i drogich kruszców.

- Ale można ją nimi kupić, o pani. Jak wszystko w naszym świecie.

Nienaturalnie pofałdowana szata dojrzalej bogini zdradzała oznaki zażartej walki stoczonej przed chwilą we wnętrzu okrywanego sobą ciała. Było ono lekko zwilżone świętym potem, który wydobył się ze spiętych ponad normę mięśni, szczególnie zaś w pobliżu myocardium. Przeznaczona do tryumfalnego ozdabiania głowy opaska diademu utonęła w związanych niechlujnie włosach, odbierając swej królowej majestatyczną wysokość. Kilka warstw ciemnomiedzianego



pudru spłynęło na biały kołnierzyk i splamiło Jej Doniosłość nadmiarem negatywnych emocji.

- Była kiedyś taka piękna... - pomyślała Iris, prostując swojej pani najbardziej pomięte fałdy. - Oczarowywała mężczyzn, budziła złe instynkty w zazdrosnych kobietach, stanowiła ponętną ozdobę swojego męża. A teraz? Sposępniała, przestała o sobie dbać, od tygodnia chodzi w jednej sukni i ubłoconych pantoflach. Jej królewskie czoło z każdym dniem coraz bardziej kała pogłębiająca się lwia zmarszczka. Niedługo cała zamienia się w rozjuszone zwierzę!

Rzeczywiście, lwia zmarszczka żłobiła gładkość lica szybciej niż prawo natury swoimi bezlitosnymi wyrokami

przewidziało. Wbiła się w najgłębszą warstwę skóry właściwej, pociągając za sobą delikatną taflę gładkiego dotąd czoła. Twarz Hery stała się surowa, męska i zawistna. Iris zaczęła ukradkiem podawać pani bardziej kaloryczną porcję ambrozji najlepszego gatunku. Wstawała niewyspana w środku nocy, by popędzić - skoro świt - na rynek i nabyć elitarną strawę, zanim przebudziły się miejscowe piękności. Dzielnie walczyła o resztki urody swojej przełożonej. Jednak w ostatnim czasie coś systematycznie okazywało się silniejsze w działaniu niż cudowne właściwości certyfikowanej substancji. W akcie desperacji zdecydowała się nawet na handel wymienny z podejrzaną służką z Indii, ale i specyfik zaproponowany przez nią bezradnie rozptyływał się w żarłocznym gardle wszechbogini, nie wnosząc w jej zewnętrzną powłokę istotnych zmian. Iris poddała się, gdy okazało się, że nieśmiertelność również ma schyłkową fazę.

Poranna przejażdżka nad światem przebiegała w milczeniu. Pani ignorowała każde wystosowane do niej słowo. Wykonała swój obowiązek bez głębszego zaangażowania się. Odezwała się dopiero w reakcji na wepchnięcie jej siłą berła w drżące dłonie. Potem znów odpłynęła w niebyt. Stała przy rydwanie niewzruszona, wpatrując się natrętnie w okna jednej z licznych w pałacu sypialni. Dlatego Iris wystraszyła się rzuconego nagle w jej stronę pytania:

- Czy Zeus późno wrócił z brydża? - zapytała Hera, imitując stoicki spokój.

- Musiała być już czwarta nad ranem, o pani, bo znikająca ciemność nieba umożliwiła mi rozpoznanie w drzwiach jego postaci - odpowiedziała Iris, uradowana przejawem chęci nawiązania przez panią dialogu. - Podobno wracał pieszo, sam. Uległ słodkiemu nastrojowi nocnych chwil i dlatego trwało to tak długo.

- O tak, twój pan im starszy, tym częściej mu ulega... - dodała z cynicznym uśmiechem królowa.

- Niech spaceruje, choćby i w nocy. Hipokrates zaleca wielogodzinne zaleganie na świeżym powietrzu. To samo zdrowie, a pan ma już swoje lata, coraz częściej skarży się na ból w kręgosłupie.

- I na bezsenność.

- Ma o czym myśleć nasz pan i władca świata. Najwyraźniej podczas dnia nie wyrabia się.

- I nikt go do bramy nie odprowadził?

- Przyszedł sam, tak jak wyszedł.

Iris nie wspominała o tym, że pan pięknie pachniał damskimi perfumami, prosił o dyskretne przechowanie w piwnicznej skrytce resztek opium, a do swojej komnaty doszedł po godzinie, tropiąc chyba węża, bo dorobił co najmniej kilometr na trasie. Był, to był. Spał twardym snem wiernego mężczyzny, który ostatecznie i tak trafia w matczyne ręce swojej żony. Wszystko więc było na swoim miejscu. Nie spodziewając się dalszych pytań, Iris zajęła się zbieraniem drobnych kryształków, które wymknęły się z berła podczas upadku. Pomyślała naprędce, że jeśli pani nie upomni się o nie w ciągu doby, sprzeda je na targu, a za uzyskane w ten sposób pieniądze kupi sobie kolorowy jedwabny szal, taki sam, jakim pochwaliła się podczas ostatniej wizyty w salonie piękności Afrodyta.

Tymczasem Hera bezszelestnie przekroczyła próg wielkiego domu zakupionego trzydzieści lat wcześniej dzięki spadkowi po matce, która usunęła się już do zakładu nieśmiertelnie ciążyącej starości. Gdy zamieszkała w nim z małżonkiem, uczyniła go na wieki szczęśliwym, a sama stała się najdumniejszą ze wszystkich kobiet na olimpijskim piedestale. Nie mogła wówczas przewidzieć, że fatum również miało chrapkę na najnowocześniejszy w powiecie obiekt i postanowiło pozbyć się nowych lokatorów szybciej niż przebiegły procedury sądowe związane z przejęciem spadku. Ale wtedy



zajął się innymi sprawami, między innymi walką bogów o władzę. Chytrze postanowiło, że rozdzieli tę dwójkę rzekomo zgodnie żyjących ze sobą bóstw w późniejszym czasie, a potem wywołał spekulacje na rynku nieruchomości i przejmie mauzoleum dawnej rodowej świetności.

Przez kilkadziesiąt lat Hera i Zeus żyli w swoim odosobnieniu dostatnio, lekko tylko konfliktowo i rzadko - wbrew obiegowym opiniom - w bojowym przeciwko sobie nastawieniu. Ona pielęgnowała ogród, on kierował ludzkimi i boskimi dziejami niczym najprzemysłniejszy strateg. Była od niego starsza, ale nigdy nie nadużywał tej męskiej przewagi nad szybciej przemijającą kobietą. Czuł, że ma wobec niej dług wdzięczności, albowiem - obecna przy narodzinach swego przyszłego oblubieńca, którego już wtedy sobie upodobała, chroniła go w okresie jego niemowlęstwa przed prześladowaniami ich ojca - Kronosa. A jednak, gdy nadszedł stosowny czas, nie uległa mu natychmiast. By ją zdobyć, musiał użyć fortelu. Powiadali, że przemienił się w małą kukułkę, która zmokła podczas burzy i schroniła się na kolanach Hery. Ta zlitowała się nad ptaszkiem, aż w końcu przytuliła go do siebie, dając początek wielkiemu przywiązaniu. Wtedy Zeus objawił się jej we własnej postaci i odbyli gody. Spędzali ze sobą prawie cały swój wolny czas: razem jadal, wypoczywali po trudach dnia oraz wyjeżdżali na śródziemnomorskie wakacje. Aż zmęczeni się swoim bezustannym towarzystwem. Zaczęła działać na niego jak płachta na byka.

- Zapytasz mnie w końcu, jak minęło spotkanie Ligi Bogiń Czytających? - domagała się nerwowo, gdy zakrywał się bez słowa gazetą.

- Czytam - załatwiał sprawę krótko, acz treściwie.

Mniej więcej wtedy pojawiły się w życiu Zeusa inne kobiety. Były różne: piękne i brzydkie, próżne i skromne. Oplatały go zalotnie długimi włosami, obtańcowywały orgiastycznym uniesieniem, jadły mu z ręki, karmiły wprost ze swoich pojętych ust, krótko mówiąc: czyniły wszystko to, czym brzydziła się wkraczająca w okres menopauzy Hera. Władza okazała się dla nich tak silnym afrodyzjakiem, że nie baczyły nawet



na karę wymierzaną im przez upokorzonych i zazdrosnych mężów. W milczeniu przyjmowały na policzek prawy sierpowy albo zasypiały wśród świń w cuchnącej oborze. Jedno spojrzenie Zeusa wynagradzało im krzywdy za grzechy popełnione oraz te, które popełnić miały po zagojeniu się ran na ciele.

- Tak mocno cię kocham - wyznała mu najpiękniejsza z ziemianek - Alkmena - spłodźmy syna silnego jak nasza namiętność.

Po kilku miesiącach powiła na świat Herkulesa.

- Oddałabym za ciebie życie - przekonywała Majra i zgięła z ręki Artemidy.

- Ona nie może się o nas dowiedzieć, nie zrozumie naszej miłości - ogłosiła to i były to jej ostatnie słowa wypowiedziane ludzką mową zanim przezornie zamienił ją w krowę.

Wiedział, że zaborcza małżonka ma twardy charakter i będzie okrutnie prześladować wszystkie swe konkurentki. Jednak ulegał im, poddawszy się woli swojego popędu. Miał nad nim większą władzę niż groźby władczej Hery oraz konsekwencje jej gniewu.

Kilka razy w roku zdarzały się wieczory, kiedy to pan świata, wzgardziwszy damskim towarzystwem, zostawał w domu. Przywoływał wtedy Herę, by wspólnie z nią napić się dobrego trunku z Bachicznej piwnicy. Zawieszali na ten czas wszelkie spory, trzymali się za ręce, przeglądali rodzinne fotografie, a potem kochali się łapczywie w wygodnej małżeńskiej pościeli, aż dźwięk zajeżdżającego pod dom rydwanu nakazywał pani odbyć obowiązkową poranną inspekcję ziemskiego padółu. Każde z nich wracało do kawałka swojego świata, którym razem tak sprawnie zarządzali.

Hera późno dowiedziała się o innych kobietach. Była pewna, że z Zeusem kochają się miłością wyłączną, głęboką i prawdziwą. Reprezentowali najwyższą władzę świata, więc łączące ich uczucie miało również unosić się ponad ziemską formę. A jednak przy każdej sprzyjającej mu okazji zaglądał pod strzechy wieśniaczek, by zostawić tam cząstkę siebie. Okazało się, że przejawiał wyjątkowo hojną płodność, co zaowocowało pojawieniem się u stóp Olimpu licznej gromadki

bawiących się ze sobą maluchów, które nie wiedziały, że powstały za sprawą dotknięcia magicznej różdżki tego samego ojca. Ich fizjologiczne podobieństwo bez problemu dostrzegła za to Hera. I nie potrafiła stłumić w sobie emocjonalnego buntu.

Od tego czasu klócili się bezustannie. Robiła mu wyrzuty, gdy tylko otworzył rano oczy. Przypominało jej się wtedy wszystko, co złe i niemoralne. Pragnęła przestać go kochać, ale przerosło to jej możliwości. Chciała zrozumieć, dlaczego mu nie wystarcza, lecz nie potrafił tego wyjaśnić. Zeus tracił cierpliwość już w punkcie wyjścia nierównej dyskusji. Z jego oczu natychmiast wytaczały się tuziny piorunów, które prze-myślnie trafiały w sam środek serca atakującej go żony. Gdy płakała, nazywał ją słabą, niegodną poważania, matroną, gdy krzyczała i wymachiwała rękoma - pętał ją złotym łańcuchem i wieszał ze ręce u szczytu Olimpu. Uwalniał ją dopiero wtedy, gdy przeprosiła.

- Jakież to wstyd przed innymi kobietami! - myślała, dyn-dając w powietrzu. - Zamiast wzbudzać ich zazdrość, stałam się pośmiewiskiem i obiektem żartów. Zamiast uczuć je godności, pozwoliłam się jej pozbawić. Dlaczego godzę się na takie traktowanie? Dlaczego wciąż jest dla mnie najwyższym z bóstw? Żaden inny mężczyzna nie uzyska nade mną władzy, dopóki żyje on - dawca rozkoszy i goryczy. Zarządza moim ciałem, ale jeszcze bardziej umysłem, gnieździ się w najmniejszych drobinach oddychających nim komórek. Jest mną, a raczej ja jestem nim. To najwyższy rodzaj okrucieństwa, jaki mężczyzna może zadać kobiecie. Chciał, żebym kochała go bezwzględnie. Dostał, co chciał. A teraz chce więcej i więcej, a wszystkie razem nie umiemy mu tego dać. Rozsiewa skażone nieprawością geny na prawo i lewo! Te uległe mu niemoły rodzą przedłużenie jego niewierności, męskich żądź i kobiecych nieprzespanych nocy. Nie słuchały, gdy stawiałam pośrodku ich świata i wygłaszałam płomienne apele. Uprzedzałam, że powinny zająć się czymś więcej niż pielęgnowaniem wdzięków. Prosiłam, by wyemancypowały babskie potrzeby oraz pragnienia. Stawałam na rżęsach, próbując wytłumaczyć im konieczność tworzenia własnej wizji rzeczywistości. Przyniosłam im w darze rozum, charyzmę, siłę i rozsądek. Wzgardziły nimi, domagając się urody. Władzy nie chciały, zadowolili się sprawującymi ją mężczyznami. A gdy już pomyślałam, że są głupsze ode mnie i mają za swoje, sama zawisłam do góry nogami. Niezbadane są wyroki Fatum! Twoje koło, o Pani, wykonało pełen obrót. Teraz one tryumfują, a ja jestem na dnie.

Chociaż dzielnie znosiła swoje upodlenie, nie akceptowała powtarzającej się nagminnie sytuacji. Wstydziła się pokazać niewiastom, nad którymi patronat - z racji urzędu - sprawowała. Stała się ofiarą Ironii Losu. Na co dzień niosła pociechę wdowom, opiekowała się matkami i pannami młodymi. Dawła kobietom siłę, mądrość i ogólną zaradność życiową. Nie zauważyła, że sama zamieniała się powoli w podstawarzą matronę modlącą się o łaskę pana.

Poinformowały ją o tym jej wizerunki utrwalone w dziełach ówczesnych rzemieślników. Najbardziej nienawidziła posagu ustawionego w centrum świątyni w Argos, a wyrzeźbionego przez Polikteta. Siedziała na tronie, niczym rozlaża, oblesnie płodna, kolosalna baba, dzierząc ciężkie berło, które wyglądało jak grzechotka dla recesywnie działającego umysłu. Oglądając to arcydzieło, wiele razy zastanawiała się, za co znienawidził ją Poliktet i co myślał w chwili, gdy ostrym dłutem drażył w spiżu lwia zmarszczkę, głębszą niż w rzeczywistości wyhodowała. Niezadowolona z nazbyt awangardowej twórczości lokalnego mistrza, uśmierciła wszystkie jego córki. Rozpacz zdruzgotanego ojca nie przyniosła jej ulgi.

Agata Marzec, Słupsk

Dokończenie w następnym numerze.

„Wszyscyśmy z jednego szynela”



Należy to przedstawienie koniecznie zobaczyć, poznać atmosferę carskiej Rosji, ludzkie słabości, liryczne piosenki i podziwiać wspaniałą grę aktorską

Rafał Kmity jest polskim pisarzem, autorem licznych piosenek i reżyserem teatralnym oraz kabaretowym. To założyciel, lider i autor wszystkich spektakli Grupy Rafała Kmity. Zespół aktorski, który tworzą głównie aktorzy krakowskich teatrów, wspólnie ze słupskimi aktorami zaprezentował w Teatrze Nowym im. Witkacego w Słupsku przedstawienie „Wszyscyśmy z jednego szynela”.

Spektakl ten to połączenie satyrycznych obrazków scenicznych, utrzymanych w stylu groteski - przejawskawionych, dziwacznych, karykaturalnych i śmiesznych, z muzyką wzbogaconą piosenką żywą w formie kupletów i przerywników. Wykonawcy piosenek to dobrani dobrze aktorzy, którzy zaskakują umiejętnościami wokalnymi. Muzyczne przedstawienie reprezentuje lekką muzę, stanowi połączenie teatru groteski i kabaretu. Nasycone jest satyrą, aluzją, zabawną anegdotą,

pojawia się mały urzędnik, budzący współczucie tragikomicznym losem pechowca. Słynne jest też powiedzenie młodego Dostojewskiego o swoim pokoleniu pisarzy: „Wszyscyśmy wyszli z Szynela”.

W spektaklu głównym rekwizytem na scenie jest zawieszony duży płaszcz - szynel stanowiący paralelę do tytułu przedstawienia. Rafał Kmity, autor sztuki z sentymentem odmalowuje dawną Rosję i odtwarza postacie z literatury, oraz klimat społeczny tamtej Rosji. Na scenie dominuje komizm sytuacyjny i stanowi clou rozrywkowe przedstawienia. Jego kabaretowa forma bawi widownię lekkimi monologami i rozbudowaną piosenką.

Ciekawa jest charakterystyka typów ludzkich, zaczerpniętych z klasycznej XIX-wiecznej literatury rosyjskiej, ukazująca obsesję ludzkiej natury i to nie tylko dotyczącej głębi rosyjskiej duszy. Takie ludzkie przywary jak: skrajny egoizm, chciwość, sadomasochizm, rozdwojenie jaźni, korupcja, łapownictwo itp. mają wymiar ogólnoludzki i są ponadczasowe. Mamy do czynienia z przeglądem wszystkich grzechów głównych.

Krakowsko-słupski zespół artystyczny dostarcza nieprzeciętnej rozrywki widowni. Występujący w spektaklu aktorzy słupscy to: Hanna Piotrowska, Jerzy Karnicki, Igor Chmielnik i Krzysztof Kluzik. Grupę Rafała Kmity reprezentują: Katarzyna Chlebny, Arkadiusz Lipnicki, Piotr Plewa i Karol Wolski.

Aktorzy zagrali postacie groteskowe, trochę absurda, ale komiczne, przedstawiające mieszkańców Petersburga. Satyra, miejscami ostra ironia, nie pozbawia jednak widowni wyczuwalnego liryzmu i swego rodzaju hołdu składanego tamtej kulturze. Zabawne, subtelnie puentowane historyjki są ozdobione wspaniałymi piosenkami, do których muzykę skomponował Janusz Wojtarowicz.

Należy to przedstawienie koniecznie zobaczyć i poznać atmosferę carskiej Rosji, ludzkie słabości, liryczne piosenki, podziwiać wspaniałą grę aktorską. Zabawa jest przednia. Po zakończeniu spektaklu, owacje i oklaski nie mają końca, aktorzy chętnie bisują wielokrotnie wychodząc na scenę i powtarzając końcowe fragmenty piosenek. Spektakl będzie w Słupsku grany m.in. w wakacje, 8 lipca, a od przyszłego sezonu znajdzie się w stałym repertuarze Teatru Nowego. Zostało zakontraktowanych minimum dziewięć spektakli.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



maksymami, które nawiązują do XIX-wiecznej Rosji, opisanej w rosyjskiej literaturze klasycznej. Nazywane jest też parateatralnym spektaklem. Zostało oparte na motywach literatury Gogola, inspirowane twórczością Czechowa, Tołstoja i Dostojewskiego. Ujmując rzecz krótko to słynna sztuka Gogola pt. „Szynel” z 1842 roku zapoczątkowała rozwój tzw. raznoczyńskiej literatury w Rosji - społeczno-obyczajowej.

W utworze Gogola po raz pierwszy, jako postać główna

Poezja zaśpiewana



Po kolejnej bezsennej nocy
z powodu uporczywego bólu,
Laura przysnęła nad ranem,
by obudzić się na odgłos kukułki zegara
w salonie, wykrzykującej godzinę ósmą.
Z trudem uniosła ciężkie powieki
i rozmasowała dłońmi twarz

28 kwietnia br. w sali widowiskowej Centrum Edukacji i Kultury w Damnicy zaprezentowało się szesnaścioro uczestników. Występowali w dwóch kategoriach: utworów już wykonywanych i śpiewanych do słów lokalnego twórcy. Wykonawcy sami decydowali, czy wstąpią w jednej czy w dwóch kategoriach. Rywalizowali o Nagrodę Główną Starosty Słupskiego (700 zł) i dwa wyróżnienia (po 400 zł) oraz o Nagrodę Specjalną Starosty Słupskiego (700 zł) za wykonanie utworu lokalnego twórcy. W tym drugim przypadku bezkonkurencyjna okazała się Daria Korowajczyk, studentka Akademii Pomorskiej w Słupsku, która zaśpiewała utwór „Kraino moja” do słów Krystyny Wojewody z Miastka i muzyki Patryka Skarbek-Tłuchowskiego. Reprezentowała Słupski Ośrodek Kultury.

Nagrodę Główną Starosty Słupskiego za wykonanie utworu z głównego nurtu poezji śpiewanej przyznano Natalii Rudyk, która zaprezentowała się w utworze „Dla Ciebie jestem sobą” Jerzego Wasowskiego i Jeremiego Przybory. Wokalistka ta uczęszcza do Młodzieżowego Domu Kultury w Słupsku, gdzie śpiewa pod okiem Krzysztofa Plebanka. Wyróżnieniami podzieliły się Paulina Łaga („Pejzaż bez Ciebie” - Grzegorz Turneau) i Aleksandra Daukszewicz („Luna srebrnooka” - Agnieszka Osiecka i Seweryn Krajewski). W przeglądzie wystąpili jeszcze: Joanna Płatwa, Oliwia Lewińska, Natalia Andrzejczak, Katarzyna Marciniak, Kinga Łozińska, Marta Wojciechowska, Ringo Todorović, Paulina Kasperek, Patrycja Pałucka, Wanesa Dyś, Piotr Kamiński i Roksana Białek. Spośród lokalnych twórców zaprezentowano także utwory: Eugenii Ananiewicz, Ireneusza Borkowskiego, Anny Karwowskiej, Bożeny Łazarczyk i wymienionej już Krystyny Wojewody.

Przeegląd sprawnie poprowadził Piotr Kozłowski. Występy wokalistów uzupełnił znakomity recital Grzegorza Gurlacza, kabareciarza, kompozytora, autora testów i muzyki, lidera

„Kapeli z Gminy Damnica”. Zaprezentował swoje autorskie kompozycje. Publiczność miała też okazję przypomnieć sobie występ ubiegłorocznej laureatki przeglądu Mai Mędek, która brawurowo, kto wie czy nie jeszcze lepiej jak przed rokiem wyśpiewała utwór „Wybacz Mamasza” Przemysława Gintrowskiego i Agnieszki Osieckiej. Maja tym razem, zgodnie z regulaminem przeglądu, jako ubiegłoroczna laureatka zasiadała w jury. W przerwie zaprezentowały się damnickie grupy taneczne w programie przygotowanym przez Teresę Czyżewską.

Przewodnicząca jury Jolanta Otwinowska, pedagog, dyrygentka chórów „Kantele” i „Academia Musica” Związku Na-



uczycielstwa Polskiego, powiedziała na zakończenie przeglądu:

- VI Powiatowy Przegląd Poezji Śpiewanej stał na bardzo wysokim poziomie. Jurorzy nie mieli łatwego zadania przy wyłonieniu laureatów. Wszystkich zachwyciła Daria Korowajczyk, przede wszystkim bardzo dobrą interpretacją tekstu, który nie był prosty, frazowaniem i bardzo ładną barwą głosu. To zadecydowało, że otrzymała nagrodę specjalną. Z kolei w przypadku Natalii Rudyk, która otrzymała nagrodę główną, muszę powiedzieć, że czasami jest tak, iż miernikiem jakości wykonania jakiegoś utworu jest reakcja naszego organizmu. To, co czujemy w czasie trwania piosenki. Reakcja na tembr głosu i intonację, gdy śpiew czujemy całym swoim ciałem. Dopiero później przychodzi konkretna ocena: czy było czysto i zrozumiale? Przy poezji śpiewanej tekst jest jednym z najważniejszych elementów, trzeba go wyśpiewać z duszy, z autentycznym, a niewyuczonym zrozumieniem. Żeby dobrze zaśpiewać taką piosenkę, trzeba głęboko przemyśleć jej treść, przeżyć ją, a nie każdy to potrafi. Natalka świetnie sobie z tym wszystkim poradziła. Zaznaczę, że o podziale najwartościowszych nagród - zadecydowały niuanse, ale wszyscy jurorzy, jak jeden, w ten sam pozytywny sposób zareagowali na wykonanie Darii Korowajczyk. Dlatego taka, a nie inna decyzja. Gratuluję wszystkim wykonawcom i cieszę się, że młodzi ludzie garną się do śpiewania poetyckiego.

Mariusz Smoliński, Słupsk





Kobylnica z poetami

Na półkach Gminnej Biblioteki Publicznej w Kobylnicy pojawiła się nowa, wyjątkowa publikacja. Jest nią Almanach Poetów Gminy Kobylnica „Niedopowiedzenia”

wydarzenie na długie lata zapisze się w historii gminy. - Jestem przekonany, że jest to jedno z najważniejszych wydarzeń w kulturalnej historii gminy Kobylnica. To wielki moment - mówił na wstępie Marcin Greczuk, jeden z redaktorów wydania. W publikacji zgromadzono efekty pracy kilkunastu autorów. W ten sposób pomysłodawcy chcieli zaprezentować kulturotwórczy potencjał osób zajmujących się poezją, które ze względu na aktywność zawodową lub życie prywatne, związane są z gminą Kobylnica. To właśnie formalna i tematyczna różnorodność książki, zróżnicowana wartość dwunastu rozdziałów prezentujących wiersze i sylwetki dwanaścioro twórców, jest największą zaletą tego wydawnictwa.

Wydawcą almanachu jest Gmina Kobylnica. Warto podkreślić, że jest to kolejna inicjatywa, której przyświeca troska o lokalne dziedzictwo kulturowe. Przed rokiem światło dzienne ujrzała książka pod tytułem „Czas pogardy i nadziei”, zawierająca wspomnienia piętnastu najstarszych mieszkańców gminy. - Wcześniej wydana książka jest ważnym dokumentem dla badaczy historii oraz młodych pokoleń. W tamtej publikacji udało nam się spisać historię życia mieszkańców, teraz udało nam się dokumentować ich myśli, emocje i uczucia. To doskonałe dopełnienie - mówił w trakcie uroczystości wójt gminy Leszek Kuliński,

który pogratulował wszystkim umieszczonym w almanachu. Zapowiedział, że samorząd nadal będzie starał się wspierać inicjatywy promujące twórczość osób związanych z gminą Kobylnica.

Spotkanie w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy uświetniły występy artystyczne. Almanach „Niedopowiedzenia” jest dostępny w siedzibie Gminnej Biblioteki Publicznej. Wydano go w nakładzie 500 egzemplarzy, a graficznie zilustrowała Romana Małecka. (GK)

Licząca 169 stron książka na pierwszy rzut oka niczym nie różni się od sąsiadujących z nią publikacji. Połyskująca, błękitna okładka, na której znajduje się prosta, choć gustowna grafika przedstawiająca pióro piśmienne. Dopiero tytuł wraz z podtytułem zdradzą czytelnikowi, jak wartościowa i wyjątkowa jest to pozycja. Almanach został oficjalnie zaprezentowany czytelnikom 27 kwietnia br. Na spotkaniu pojawili się inicjatorzy tego wydania, czytelnicy oraz poeci, których wiersze znalazły się w książce. A mieli to szczęście: Genowefa Błaszczak-Wróblewska, Jan Chalecki, Grzegorz Chwieduk, Marcin Greczuk, Zenon Marian Lasoń, Bożena Łazarczyk, Maria Łęcka, Romana Małecka, Barbara Nibelska, Agnieszka Pyzik, Stefania Siemińska-Rokita i Małgorzata Wątor.

Wszyscy zgodnie podkreślali, że to



Damnickie konkursy



Mam ogromną przyjemność oceniać młodych twórców w konkursie literackim i w dwóch innych konkursach. Każdego roku prace plastyczne, teksty literackie, wykonania wokalne zadziwiają i pokazują ogromny talent naszych dzieci i młodzieży

I Konkurs Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej w Zespole Szkół w Damnie odbył się pod koniec marca 2010 roku. Przez dwa lata miał zasięg tylko gminny. W 2012 roku organizatorzy otworzyli się jednak dla szerszej grupy uczestników. I przyjechali, z czterech stron województwa. Początkowo był to tylko konkurs piosenki, ale po dwóch latach „rozwósł się”

do wokально-plastyczno-poetyckiego. Honorowy patronat objął nad nim wójt gminy Damnica Grzegorz Jaworski i funduje Grand Prix. Z roku na rok uczestników przybywa, a poziom, który od początku był wysoki, ciągle rośnie.

Zadaniem konkursu wokального jest popularyzacja i upowszechnianie śpiewu wśród dzieci i młodzieży, prezentacja osiągnięć artystycznych, stworzenie możliwości artystycznego współzawodnictwa oraz zachęcenie do doskonalenia warsztatu wokального. Zadaniem konkursu plastycznego jest poszerzenie wiedzy o różnych technikach plastycznych i rozwijanie u dzieci wyobraźni plastycznej.

Konkurs poetycki propaguje twórczość, rozwija zainteresowania kulturalne i promuje kulturę języka. W tym roku tematem dla szkół podstawowych był fragment tekstu Magdy Czapieńskiej z piosenki „Ale jestem” (śpiewa ją Anna Maria Jopek): „Ucha nadstawiam, słucham jak gra. Muzyka we mnie - w muzyce ja”. Młodzi twórcy mieli napisać tekst piosenki, który zaproponowaliby swoim rówieśnikom do zaśpiewania na lekcji muzyki. Gimnazjaliści mieli zainspirować się słowami piosenki Jonasza Kofty „Śpiewać każdy może” wykonanej na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w 1977 roku przez Jerzego Sthurę: „Śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej, ale nie o to chodzi, jak co komu wychodzi”, i napisać fraszkę.

W obu zadaniach młodzi twórcy pokazali swój pa-zur twórczy. W tekstach piosenek było widoczne dziecięce



Julia Ostrowska, Damno - Grand Prix

MUZYKA JEST WSZĘDZIE

Ciągle gdzieś coś słyszę, na jawie i we śnie.
Słuchać nawet ciszę, która budzi mnie.
Ciągle gdzieś coś gra, osacza myśli me
Zachęca do śpiewania, więc raduję się.

Ref. Moja dusza śpiewa od samego rana.
Śpiewa basem tata, nuci moja mama.
Radość nas porывa, tańczy cały świat.
Muzyka jest wszędzie, a w muzyce ja.

Cieszę się, gdy pada, gdy wieje silny wiatr.
Śpiewać zawsze wypada, cieszy mnie świat.
Lubię świergot ptaków ukrytych pośród drzew
Gwiżdżę razem z nimi, to radosny śpiew.

Ref. Moja dusza śpiewa od samego rana...

Muzyka jest wszędzie, słyszę jak wciąż gra.
Zawsze tu będzie, bo w niej jestem ja.
Rozjaśnia szare niebo otulone mgłą,
Wysłuchaj się uważnie, wystarczy poczuć ją.

Ref. Moja dusza śpiewa od samego rana...

Michał Koziarek, Gimnazjum w Kępicach - I Nagroda

PSEUDODIWA

Pewna sklepikarka młoda zamarzyła o karierze
I zaczęła w spożywcza-ku zgrywać diwę - jak w operze.
Więc za ladą stojąc dumnie, dźwięki wydawała z siebie,
Tak wysokie i nieczyste, że aż skórka miękła w chlebie.
Między górnym „mi” i „do” coraz gorzej w sklepie szło.
Wtedy biznes swój zamknęła i muzyką się zajęła.
Choć z pieniędzmi było kruch-o, lekcje śpiewu wykupiła.
Ale... słoń nadepnął jej na ucho i kariery nie zrobiła.
Dziś ogródek swój uprawia - kwiaty sieje, ziemię orze.
I wciąż nuci coś wesoło. Przecież śpiewać każdy może.

zadziwienie światem i użycie pięknych metafor. W pracach gimnazjalistów ujmowało satyryczne ujęcie zjawisk współczesnego świata, czasami moralizowanie, ale nie przesadne.

Frekwencja i zaangażowanie uczniów daje podstawę sądzić, iż takie konkursy są świetnym sposobem na zintegrowanie szkół. To również nauka i cenne doświadczenie, świetna zabawa i próba realizacji artystycznych marzeń.

Wszystkim uczestnikom konkursów należą się gratulacje za wykonane zadania. Najlepsze teksty, prace plastyczne i wykonania wokalne nagrodzono pięknymi statuetkami, dyplomami i upominkami rzeczowymi. Za rok, kiedy wiosna znowu obudzi się ze snu i strzepnie ostatni mroźny pył zimowych pieleszy, moje kroki zapewne ponownie skieruję do niewielkiej, ale jakże uroczej darnickiej społeczności, by ocenić kolejne prace i artystyczne wykonania. I zrobię to z ogromną przyjemnością.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno



Lucyna Smogorzewska - Ustka

Mieszkam w nadmorskim miasteczku. Moim marzeniem była polonistyka, ale nie dane mi było studiować. Wiersze towarzyszyły mi zawsze, jednak rodzina i praca zawodowa nie pozwalały na pisanie. Dzisiaj mam czas i spełniam swoje marzenia. (ż)

W CISZY

W ciszy rodzą się myśli,
płyną lekką melodią.
Łatwiej marzenia wyśnić,
sprawy ujrzyć na nowo.

Znaleźć przystań po burzy,
i ocalić wśród sztormów.
Wstrzymać mrok który ruszył,
niczym rydwan stukonny.

W ciszy można usłyszeć,
walc jesienny jarzębin.
I popatrzyć na życie
z perspektywy i głębiej.

Można wzlecieć pod błękit,
by być duszy bliżej.

Tylko trudno czasami,
znaleźć w sobie tę ciszę.

WSPOMNIENIE

Na wzgórzach oczy pełne nienawiści,
przeliczają wszystkie rany serca.
Komu przesyłasz wymyślone gesty,
a komu tylko same łzy.

Czy droga staje się kręta,
do której nie wybiera się nikt.
Ktoś nam poplątał drogi
i teraz nie ma już nic.

Przecież chodziliśmy razem,
zwiedzając te same wzgórza.
Życie przemknęło nam szybko
jak uschła delikatna róża.

DROGA

Kroczysz drogą
która nie ma końca.
Gdzie łączy się ziemia
Z zachodem słońca.

Gdy o świcie
mgła otula niwę.
Rozwiązujesz sprawy
Nie zawsze prawdziwe.
Snujesz myśli swoje
niczym pajęczynę.
Lecz za swoją drogę
Ty ponosisz winę.

Szukaj drogi prostej
ale też przejrzystej.
Każdy jej odcinek
Dobrze wykorzystaj.

Aniela Górowska - Miastko

Od siedmiu lat jest emerytką. Wiersze pisze od wielu lat, ale tylko do szuflady, bo - jak napisała - nie miała dotąd możliwości pokazania ich komuś kompetentnemu. Pisze, bo... lubi. (ż)

KSIEŻYC I JA

Kiedy jestem na balkonie,
księżyc lekko biorę w dłonie
Jego blask oraz poświata,
wokół całą mnie oplata.
Moja twarz przy jego twarzy,
czekam może mi się zdarzy
Słyszeć dźwięk, który z daleka
prześle do mnie, bo ja czekam

Oraz bardzo mocno wierzę,
że ten księżyc w dużej mierze
Ma wpływ wielki na me życie
w nowiu, w pełni i o świcie.
W nim ja widzę przyjaciela,
choć przestrzeń nas rozdziela,
Był przy moich narodzinach,
uspiera mnie w trudnych godzinach.

Gdy przyglądam mu się długo
księżyc jakby rzeczną strugą
Płynie lekko tam po niebie,
przywołując mnie do siebie.
Nie wiem dobrze co to znaczy,
lecz nie może być inaczej,
Gdy na Ziemi kiedyś skonom,
Księżyc weźmie mnie w ramiona.